MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 25 WARSZAWA, 14 CZERWCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLITYKA FRANCJI W RĘKACH OBCYCH

W ŻADNYM bodaj kraju europejskim nie interesuje się tak opinja publiczna tem, co się dzieje we Francji, jak w Polsce. A to z dwu powodów: każdy Polak jest urodzonym frankofilem, każdy Polak wie, że losy Polski i Francji są z sobą ściśle związane.

To też opinja polska śledzi z wielką uwagą przeobrażenia, jakie się dokonywają obecnie nad Sekwaną. I jest rzeczą dla tej opinji niezmiernie ważną, by się dobrze orjentowała co się tam dzieje. Dlatego zajmujemy się tutaj zebraniem nowowybranego parlamentu i zmianą rządu.

Przystępując do tych spraw musimy z góry i z całą jasnością postawić tezę, że objęcie steru rządów we Francji przez p. Leona Bluma jest czemś o wiele ważniejszem, niż wszystkie dotychczasowe zmiany jakie się odbyły od czasu ustanowienia Trzeciej Republiki. Bo—zdaniem naszem—nie to jest ważne i istotne, że po długoletnich rządach stronnictwa radykalnego kierownictwo przeszło w ręce socjalistów, lecz to, że premierem Francji został p. Blum, obywatel francuski, lecz człowiek przyznający się otwarcie do narodowości żydowskiej.

We Francji przeważa bodaj opinja, iż uznający się za narodowca żydowskiego żyd może być równocześnie całkowitym Francuzem, że nacjonalista żydowski może być równocześnie nacjonalistą francuskim. W Polsce panują pod tym względem inne poglądy. I — zdaniem naszem — poglądy te są słuszne i uzasadnione.

Bo trzeba przy myśleniu o tej sprawie wyjść z założenia, że żydzi chcą być i są odrębnym narodem, że posiadają od lat własną politykę międzynarodową i własne tej polityki kierownictwo. Może się przeto zdarzyć, że polityka żydowska zgadza się z polityką narodu, wśród którego żydzi mieszkają, często wszakże na terenie europejskim polityki te są różne, a jeszcze częściej wprost z sobą sprzeczne.

Twierdzimy z całą stanowczością, że w roku pańskim 1936 i w latach następnych polityka europejska żydów jest i będzie w zasadniczej sprzeczności z polityką państw cywilizacji i kultury zachodnio-europejskiej. Możnaby napisać cały tom na ten temat. Rozporządzając miejscem ograniczonem, powiemy krótko: Interesy, co więcej byt narodów cywilizacji i kultury europejskiej zależy od tego, czy w Europie współczesnej zwycięży prąd narodowy, który niesie odrodzenie duchowe rasie białej; interesy i istnienie ludu żydowskiego w Europie jest zagrożone przez prądy narodowe wśród ludów naszego kontynentu, a żydzi coraz powszechniej upatrują ratunek dla siebie w zwycięstwie komunizmu.

Otóż co do stanowiska p. Bluma i ludzi go otaczających, wobec wskazanej powyżej sytuacji nie może mieć nikt żadnej wątpliwości. Krótko można powiedzieć: głównym celem polityki p. Bluma będzie zniweczenie prądów narodowych we Francji i w Europie.

Jest on dziś zależny od komunistów, rola jego jest ściśle taka, jaką była rola Kiereńskiego w Rosji — przygotowywaniem gruntu dla komunizmu. Niechaj nikogo nie wprowadzą w błąd miodowe i umiarkowane deklaracje p. Bluma. Jest on już i będzie całkowicie zależny od komunistów, a zresztą, jako polityk żydowski, musi z całego

serca pragnąć raczej zwycięstwa komunizmu w Europie, niż triumfu prądów narodowych.

Czytam prasę warszawską i doprawdy nie wiele spotkałem artykułów, w których sprawa byłaby postawiona tak jak powyżej. Ludzie pokrewni ideowo p. Blumowi cieszą się oczywiście z jego przyjścia. Inni mówią o przejściu władzy we Francji z rąk radykałów w ręce socjalistów, snują rozważania na temat polityki radykalnej i socjalistycznej, przyjmując w milczeniu za fakt, że p. Blum jest politykiem francuskim. Co więcej, spotykam korespondencje z Paryża, przeniknięte tendencją uspokojenia opinji polskiej, że w Paryżu panuje spokój, że wszystko układa się jaknajlepiej, w ministerjum p. Bluma jest tylu a tylu przyjaciół Polski...

Gdyby to wszystko było nawet zgodne z rzeczywistością, to nic nie może usunąć sprzed oczu objektywnego spostrzegacza faktu, że kierownikiem polityki Francji jest człowiek, który sam się przyznaje do dwu narodowości, a który z konieczności i z natury rzeczy w razie sprzeczności interesów będzie musiał dać pierwszeństwo interesom żydowskim.

Niema rzeczy ważniejszej w życiu zbiorowem narodu, jak jego polityka światowa. Nie może być większego nieszczęścia dla państwa i narodu, jak oddanie kierownictwa tą polityką w ręce obce. Takie nieszczęście stało się we Francji. Tego oczywistego faktu nie można nie widzieć, tego faktu nie można pomijać, z tego faktu nie można nie wyprowadzać wszystkich koniecznych wniosków. A fakt ten będzie miał bardzo daleko idące konsekwencje w polityce europejskiej, jeżeli rządy p. Bluma będą trwałe, to znaczy jeśli nie nastąpi we Francji reakcja gwałtowna instynktu narodowego, pokierowana trzeźwą, tradycyjną myślą polityczną narodu francuskiego.

Opinja polska zaś, zdająca sobie sprawę z istoty przeobrażenia politycznego we Francji, musi z całą troską i uwagą śledzić to, co się we Francji dziać będzie.

Bo będąc mocno przekonani o tem, że interesy narodów polskiego i francuskiego są całkowicie zgodne, że dogmatem naszym w dziedzinie polityki międzynarodowej było, jest i będzie współdziałanie z Francją, nie możemy godzić się z tem, że polityka polska musi być w zgodzie z ewentualną polityką żydowską, prowadzoną przez ludzi, którzy opanowali rządy we Francji.

Od lat już miało wielki wpływ na politykę francuską wolnomularstwo, będące narzędziem polityki żydowskiej. Dziś rzeczy zaszły o wiele dalej — ster polityki przeszedł bezpośrednio w ręce żydowskie. Trzeba tedy pilnie baczyć, czy polityka światowa Francji będzie p o l i t y k ą f r a n c u s k ą czy też p o l i t y k ą ż y d o w s k ą prowadzoną przez ludzi posiadających władzę we Francji w swoim ręku.

Dla wielu względów namyślałem się długo nad tem, czy można sprawę oświetlić w sposób tak bezwzględny i tak jaskrawy. Doszedłem jednak do wniosku, że rzeczą najważniejszą jest powiedzenie opinji polskiej całkowitej, choćby przykrej prawdy, bo w grę wchodzą rzeczy zbyt wielkiej wagi, by można się kierować względami drugorzędnemi.

STANISŁAW KOZICKI

NIEŻYCIOWE PRETENSJE ŻYDOWSKIE

W DNIU 17 lutego r. b. toczyła się w Sejmie generalna debata na tle mowy prezesa ministrów, w której wziął udział poseł żydowski, syjonista. Krytykując zarówno społeczeństwo polskie, jak i rząd za ich stosunek do żydostwa, poseł ten pod adresem rządu zgłosił szereg żądań:

„żądamy od rządu wyraźnego stanowiska w sprawie żydożerczej judofobji. Żądamy dopuszczania wykwalifikowanych sił żydowskich do państwowej i komunalnej administracji. Żądamy energicznej walki z licznemi objawami żydożerczej polityki w codziennem życiu gospodarczem... Reformy życia gospodarczego nie mogą być dokonywane — jak to było dotąd — wyłącznie na rachunek żydowskich warsztatów pracy..." („Hajnt", 42/1936 r.).

Przypuśćmy, że w Polsce niema żydów na urzędach. Wszak wolno to sobie wyobrażać! Przypuśćmy, że ludność rdzenna tak wysoko jest rozwinięta pod względem kultury gospodarczej, że stosuje w swem życiu codziennem metodę samowystarczalności narodowej. Przypuśćmy!

Nam chodzi jednak o treść odnośnych żądań żydowskich, o ich zgodność z wymogami życia narodów rdzennnych.

Dla przekonania swoich słuchaczów mówca użył pięciu, widocznie, jego zdaniem, najsilniejszych argumentów, które wskazane jest omówić z osobna kolejno:

„mówca omawia szerzej bojkot gospodarczy przeciw ludności żydowskiej i systematyczną, na szeroką skalę zakrojoną akcję, prowadzoną nie tylko przez endecję w celu obrabowania (*„berauben"*) żydów z ich pozycyj pracy i skazania ich na śmierć głodową..." (tamże).

Kto kogo „rabuje"? Czy te „pozycje" znajdują się w kraju żydowskim?

Czy te „pozycje" są oparte na podstawie równoważnych korzyści, udostępnionych dla ludności rdzennej z Polski gdzieś w kraju żydowskim?

Czy ludność rdzenna w Polsce nie została właśnie przez żydów obrabowana z jej naturalnego prawa do wykonywania przez swoich członków wszystkich niezbędnych dla siebie czynności „gospodarczych"?

Aby się przekonać, jak przedstawia się ta „praca" i jak ona jest niezbędna dla ludności rdzennej — jeżeli są tacy, którzy jednak wątpią o tej zdolności żydostwa — wystarczy przyto-

czyć informację z Radomia, zamieszczoną w temże piśmie z tegoż 18 lutego:

„okropna sytuacja żydów w Przytyku jest trudna do opisania. Kupcy i handlarze głodują. Żaden chrześcijanin u nich nie kupuje. Wielu już zlikwidowało swoje interesy...”

Okazuje się, że obchodzą się bez żydów i to w tak krótkim czasie! A na zjeździe gmin żydowskich z pow. opoczyńskiego zapadła taka znamienna uchwała:

„Komunalna Kasa Oszczędności daje włościanom pożyczki, umożliwiające im otwieranie sklepów zamiast zamkniętych sklepów żydowskich. Zjazd powziął uchwałę zwrócenia się do centrali Kas Komunalnych, aby Kasa w Opocznie nie mogła wykorzystywać nieszczęścia zrujnowanych żydów...” („Hajnt”, 45, 1936).

Jest to pośredni obrazek z życia w całym kraju i pośredni dowód, kto komu jest potrzebny, kto z kogo żyje, a więc kto kogo rabuje:

„dokąd mają żydzi iść?” — mówił poseł żydowski — „...wszyscy przecież wiedzą, że... jedyną możliwością staje się emigracja do Erec Izrael. Ale ona nie odczuwa potrzeby nacisku zzewnątrz...” (tamże).

Przeciwnie. Historja żydowska uczy, że ten nacisk w kierunku Jordanu musi iść od narodów rdzennych. Mówca, będąc oficjalnym syjonistą, wie przecież, skąd np. wzięła się z Rosji „I emigracja” w 1866 r., a „piąta” z Niemiec po Hitlerze.

Dokąd mają żydzi iść? Dla żydów będzie najlepiej jeżeli sobie sami żydzi określą nie zajęte jeszcze kraje, które mogą się stać krajami żydowskiemi. A choćby Biro-Bidżan. Ale żydostwo nie chce. I bez przymusu ze strony swoich istotnych przyjaciół, judofobów, nie zdobędzie się na emigrację z Polski, ani z żadnego innego kraju:

„ludność żydowska nie poczytuje siebie za obcą w Polsce! Ona tu żyje od 7 czy 8 wieków i czuje się ściśle związaną z polską ziemią i nie chce dać się stąd wypchnąć...”

Nic dziwnego, że żydostwo nie chce dać się „wypchnąć” z Polski. Tak wspaniale mu się powodzi w Polsce, pomimo ciągłych żalów, na co wskazuje choćby możność wywiezienia z Polski do Palestyny 8 mil. f. st. przez zaledwie drobną ilość żydów podczas t. zw. 4 emigracji (1924—25 r.) („Hajnt”, 135/1929 r.). To znaczy zgórą 160 mil. złotych w złocie, podczas gdy cały kapitał zakładowy w Banku Polskim wynosił podówczas, jak wiadomo, 100 mil. zł. w złocie, z trudem zebranych przez społeczeństwo rdzenne! Bo żydostwo bojkotowało ową subskrypcję. (I wbrew pierwotnemu zamiarowi nie ogłoszono wykazu subskrybentów!)

Czy wszyscy żydzi mieszkają w Polsce „od 7 czy 8 wieków”? I ci, ktorzy noszą nazwiska o takiem „polskiem” brzmieniu, jak Sommerstein, Rosmarin, Thon, Schmorack, Rotenstreich i t. d. i t. d?

Czy na ten długi pobyt żydów w Polsce wskazuje również ich żargon, czyli zniekształcony język niemiecki?

Żydzi są tak „związani” z polską ziemią?

A co stwierdza dr. Thon, opisując „nowy rok drzew”, obchodzony w początku lutego r. b.?

„gdyśmy byli w swoim kraju, on nosił nas na sobie. Gdy jesteśmy w golusie [„na wygnaniu!” przyp. tł.], widzimy go w sobie. To są dziwy historji żydowskiej. I stwierdzamy to na każdym kroku, jak głęboko jesteśmy związani z naszym krajem. Nawet rytm roku wzięliśmy z sobą z Erec Izrael. W ten tylko sposób mógł nastąpić ten pozorny absurd, że na północy, w środku zimy, obchodzimy nowy rok drzew...” („Hajnt”, 33, 1936 r.).

Słowem, obcy i wrogi żywioł w Polsce. I szerokie masy ludności rdzennej o tych wszystkich „dziwach” wiedzą, bo czują je na swoich barkach.

Czy długość pobytu, w takim charakterze, nawet w ciągu „7 czy 8 wieków” może wpłynąć na zmianę pogląd ludności rdzennej kto jest „swój”, a kto „obcy”?

Bo stanowisko ludności rdzennej jest decydujące pod tym względem, a nie stanowisko żydów. I na to nie pomoże oficjalne obywatelstwo, jako umocowanie fikcji tożsamości żydostwa z ludnością rdzenną. Życie realne bowiem nie znosi fikcji. To obywatelstwo jest to właśnie jeden z wyrazów zniekształcenia struktury politycznej, która dla ludności rdzennej w krajach Europy obecnie jest tak zabójcza.

Argument ilości lat pozatem nie powinien być wysuwany, zwłaszcza przez syjonistów, którzy przecież odmawiają Arabom prawa do Palestyny, pomimo, że Arabi zamieszkują ten kraj dłużej, niż „7 czy 8 wieków” i w dodatku od samego początku nie pasorzytują na organiźmie żydowskim:

„judofobja w dziedzinie gospodarczej stanowi chorobę organizmu państwowego i na tę chorobę trzeba znaleźć lekarstwo. Jest jedno lekarstwo, które wskazał już w 1868 r. wielki patrjota polski, Franc. Smolka, w Sejmie galicyjskim na rozwiązanie sprawy żydowskiej: dać żydom szczere równouprawnienie w praktyce” (tamże).

Nie judofobja w gospodarce jest chorobą organizmu państwowego, a byt żydostwa, jego wpływy ekonomiczne w jakiemś państwie, zwłaszcza w takiej ilości jak w Polsce, są chorobą tego państwa. Chcąc leczyć chorobę Polski lub jakiegoś innego kraju w zakresie gospodarczym, trzeba dążyć do usunięcia źródła tej choroby, czyli dążyć do usunięcia żydostwa, a więc i jego wpływu.

Czy jest to łatwy środek, to inna sprawa, ale dążyć do tego musi każdy organizm narodowy, czujący w sobie chociaż trochę żywotnych sił. Organizm, nie reagujący przeciw żydostwu, dowodzi, że stracił już swoją żywotność, że już zanika, że staje się odpowiedni jedynie do służenia za pożywkę żydostwu.

Do czego doprowadziła Galicję „równość”, czyli przywilej żydostwa, o tem wszyscy w Polsce już wiedzą. Zresztą, masowa ucieczka galicjan ze swojej dzielnicy do innych dzielnic po odbudowie Państwa Polskiego najlepiej świadczy o „zdrowiu” gospodarczem tej dzielnicy, przysporzonem jej przez żydostwo.

Utożsamiać żywioł żydowski z ludnością rdzenną i ułatwiać mu w ten sposób jego pasorzytowanie jest tem samem, co np. w ogrodnictwie rekomendować tuczenie liszek i w ten sposób ułatwiać im niszczenie roślin, o których wyhodowanie chodzi.

Wreszcie, ostatni argument mówcy:

„również Polska daremnie kiedyś oczekiwała na sprawiedliwość... [Dalej mówca przytacza deklarację polskiego Sejmu, ogłoszoną w Zakroczymiu 18.IX. 1831 r. po załamaniu się powstania]. Czy i my, żydzi, nie moglibyśmy powtórzyć tych słów w obecnej naszej sytuacji? Ale, nie! my naród wieczny, patrzący z wysokości około 60 pokoleń, wykrzykujemy: nie ugniemy się, nie ustąpimy, wytrzymamy!...“ (tamże).

Przypuśćmy, że autorzy owej deklaracji rozumieli istotne źródło tragedji Polski i zwracali się pod właściwym adresem.

Ale, g d z i e Polska „oczekiwała na sprawie-

dliwość"? Przecież w swoim kraju, na swoich ziemiach historycznych.

A więc gdzież jest analogja do żydostwa, żerującego w cudzym kraju, na jego ludności rdzennej i domagającego się „sprawiedliwości", która ma polegać na dalszem utrzymaniu tego stanu?

Następnie, to chełpienie się „60 pokoleniami" — to nie jest taki silny i wzniosły argument. Zbożne przeżycie w ciągu „60 pokoleń" na własnej ziemi nie jednemu mogłoby zaimponować. Ale „60 pokoleń" na koczownictwie, na łobuzerce, na cudzych barkach, na garnuszku dobroczynnym — taki „normalny" byt nietylko nie przysparza honoru „narodowi wybranemu", a przeciwnie, jest jego hańbą, którą niektóry żydzi już odczuwają i pragną ją w XX wieku przerwać, nawołując do zerwania z rozproszeniem, jako źródłem kalectwa żydostwa — moralnego i umysłowego.

Czy powyższe wyjaśnienia nie wskazują, że owe pretensje żydowskie nie mają życiowego podkładu?

Aby się przekonać jeszcze silniej o ich nieżyciowości, wskazane jest zapoznać się z ustosunkowaniem się żydów w innych krajach do swoich rodaków z Polski.

Korespondent londyński, wskazując na niechęć żydów w Anglji do ofiarności na rzecz żydostwa w Polsce, w kwietniu 1936 r. pisał:

„...powtóre: żydów polskich poprostu nienawidzą..." („Hajnt", 93, 1935).

B. Juszson, na podstawie swoich informacyj z Anglji, na tle zbiórki na rzecz żydostwa w Polsce, w czerwcu 1935 r. pisał:

„zamiast ciepłych braterskich oznak współczucia i litości, ta akcja dała sposobność do uzewnętrznienia pogardy i wrogiej obojętności ze strony naszych angielskich braci do żydów polskich. Większość nie chce nic dać dla polskich żydów, a jeżeli daje to grosze, które nas poniżają i obrażają... Znani ofiarodawcy wykazują specjalny wstręt, poprostu nienawiść do polskich żydów, dla których nie chcą dać nawet feniga..." („Hajnt", 141, 1935).

Jeszcze ciekawszy jest stosunek żydów do żydów „polskich" na terenie Palestyny, czyli własnego kraju, przeznaczonego dla całego żydostwa, a więc i dla żydów z Polski. Oto co pisał w 1929 r. Mojsze Justman w jednem ze swoich sprawozdań o życiu żydowskiem w Palestynie, po dłuższym swoim pobycie w tym kraju:

„do żyda polskiego odnoszą się z podejrzliwością, niewiarą, lekceważeniem. Na niego patrzą, jak na „syjonistę Grabskiego", który przybył do Erec Izrael nie z pobudek ideowych, miłości do kraju, lecz który uciekł od podatków Grabskiego, bowiem liczył na możliwości tutaj nowego „paska" i „łatwych zarobków". Uważają go za oszusta, złośliwego bankruta, złodziejaszka portfelu wekslowego, któremu należy patrzeć na palce i zachowywać się wobec niego bardzo, bardzo podejrzliwie.

Brak zaufania do nich — skarżą się oni — daje się zauważyć ze strony wszystkich instytucyj społecznych, zarówno kierownictwa syjonistycznego, jak i magistratu oraz banków.

„Polskiemu żydowi trudno jest uzyskać kredyt w bankach; jego żyro nie jest brane pod uwagę pod różnemi wymówkami. Wśród licznych urzędników bardzo mało jest polskich żydów. Żyd polski bardzo rzadko jest dopuszczony do zajęcia zwolnionego stanowiska. Przemysł telawiwski, znajdujący się w większości w rękach żydów polskich, nie otrzymuje żadnego wsparcia finansowego od kierownictwa syjonistycznego. Nie tylko, że nie jest on popierany; przeciwnie, napotyka na wiele przeszkód i utrudnień... Nie kto inny, jak sam prezydent Weizman swego czasu wyraził się, że żydzi z Dzikiej i Nalewek trwają w błędzie, myśląc iż uda im się tutaj założyć swój przemysł, odpowiedni dla Sznipiszek" (miasteczko żyd. pod Wilnem, przyp.).

Nie jest lepszy stosunek magistratu w Tel Awiwie. Poprzednio, dwa lata temu, udało się żydom polskim, zorganizowanym w „Związku żydów polskich", wprowadzić do magistratu sześciu radnych, z których jeden został wybrany na wice-prezydenta. Podczas ostatnich wyborów utworzył się jednak przeciw nim zjednoczony front. Na zebraniach wyborczych występowano przeciw nim z okropnemi zarzutami. W wyniku tej zjednoczonej walki trafiło do naszego magistratu zaledwie 2 polskich żydów, a w zarządzie niema już ani jednego. W „kołach kierowniczych" „Związek żydów polskich" po dziś dzień nie jest uznany za legalną instytucję. Nie jest on zapraszany na żadne narady społeczne i uroczystości. Z jego życzeniami i poglądami nie liczą się. Zapominają go zupełnie, pomimo że żydzi z innych krajów również mają swoje związki ziomkowskie i do tych ostatnich odnoszą się w tych kołach bardzo i bardzo przychylnie.

Antypatja w tych kołach do żydów polskich posuwa się tak daleko, że na uroczystość 20-lecia istnienia Tel Awiwu zostali zaproszeni wszyscy byli radni tego miasta, natomiast byli radni s pośród żydów polskich zaproszeni nie zostali.

Należy już zakończyć — skarżą się oni — powtarzać tę plotkę, że żydzi polscy przybyli tutaj bez idealizmu, bez środków pieniężnych a tylko w celach spekulacyjnych. Niewątpliwie, i takich nie brakło. Zresztą, w tej orgji spekulacyjnej na place i domy, która dała się we znaki w początku 4-ej imigracji, ponosi nie mniej winy kierownictwo syjonistyczne, które okazało się niezdolne do pokierowania prądem imigracji... Nie wolno zapominać, że ten prąd imigracyjny z Polski wniósł do kraju 8 milj f. st., z czego 6 milj. w gotówce. I jakkolwiek jedna trzecia część imigrantów później wróciła do Polski, to nie wzięła ona przecież z sobą $^1/_3$ części wwiezionego kapitału. Ten majątek pozostał tutaj w kraju. Nie zapominajcie, że z 42 tysięcy polskich żydów, którzy przybyli tutaj w ciągu 3 lat, prawda, 15 tysięcy wróciło, ale około 30 tysięcy pozostało. Połowę Tel Awiwu, najpiękniejsze domy, myśmy wybudowali, my, polscy żydzi. Wszystkie wybitniejsze dzielnice do nas należą. I to właśnie w czasie kryzysu wybudowaliśmy fabryki, w których znajdują zajęcie tysiące robotników, bez żadnej postronnej pomocy i wsparcia. Nie zapomnijcie, że połowę Tel Awiwu, tej chluby nowego żydostwa, wybudowali właśnie żydzi polscy!" („Hajnt", 135/1929).

Oto, jak odnoszą się sami żydzi we własnym kraju do swoich rodaków z Polski, pomimo że przywieźli tyle pieniędzy, zarobionych na gojach, i wybudowali połowę Tel Awiwu, tej „chluby nawego żydostwa"!

Gdzież tkwi istotne źródło tej nieznośności żydów z Polski dla innych żydów, a tem więcej dla obcych, dla ludności rdzennej?

Pośrednią odpowiedź na to pytanie można znaleźć w słowach dr. Ch. Weizmana, wypowiedzianych w Tel Awiwie w 1935 r. na zjeździe syjonistów:

„Nasz kraj został obrócony w jakąś kopalnię złota na Alasce. Tutaj jednak niema złota, tutaj jest tylko „dźwięk złota", taniec dokoła złotego cielca, który nie jest ze złota. Toć wreszcie nie chcemy tutaj kopjować życia, pędzonego w Warszawie, Pińsku, Londynie i t. d. Istota syjonizmu polega przecież na przewartościowaniu wszystkich wartości. Powiedzieliśmy sobie, że życie żydowskie kształtowało się pod naciskiem obcych kultur, natomiast gdy przybędziemy do Erec Izrael — wytworzymy nowe światy. Czyśmy je wytworzyli?"... („Hajnt", 58/1935).

A zatem istotne źródło tej nieznośności żydów „polskich" dla innych żydów tkwi w zachowaniu przez nich sposobu życia, pędzonego doniedawna w Polsce.

Wszyscy żydzi, wychowani na swojej kulturze, zastosowanej do pasorzytniczego bytu w rozproszeniu, są mistrzami w zdolności eksploatacji otoczenia, czy to będzie „w Warszawie, Pińsku", a więc w Polsce, czy „w Londynie i t. d.", a więc w innych krajach. Ale żydzi z „Warszawy, Pińska", a więc z Polski, musieli prześcignąć swoich rodaków z innych krajów w tej „zdolności". Wszak Polska jest to kraj największego *ghetta* żydowskiego w świecie, które otrzymało szczególnie

dogodne warunki rozwoju po ujarzmieniu ludności rdzennej w czasie porozbiorowym. Tu „duch" żydowski musiał przeto rozwinąć się z siłą, nieznaną w innych krajach. Polska stała się „twierdzą żydowskości". („Hajnt", 291/1935 r.).

Gdy zjawiają się oni, przeniknięci duchem tej swojej „kultury", nawet we własnym kraju, stają się i dla żydów nieznośni i poczynają być nienawidzeni.

Jak można wobec tego wymagać od obcych, od wrogów, aby traktowali tych żydów lepiej, niż traktują ich właśni rodacy?

Jeżeli żydom w swoim kraju przysługuje prawo ujemnego ustosunkowania się do „kopji" życia żydowskiego w Polsce — o ten odcinek nam chodzi — to chyba i ludności rdzennej w Polsce, jako istotnemu gospodarzowi tego kraju, winno przysługiwać prawo ujemnego ustosunkowania się do „oryginału" tego życia. A jeżeli tak, to i prawo do samoobrony wobec wszystkich „wyczynów" tych swoich „miłych współobywateli", żydów „polskich", tem więcej, że te wyczyny wobec obcych muszą być silniejsze w „treści", niż wobec swoich rodaków. W dodatku i Polska nie jest Alaską, i w Polsce „niema złota", gdyby nawet stanąć na stanowisku, że żydom miałoby przysługiwać prawo eksploatacji skarbów ziemnych w cudzych krajach.

Te rozważania i przytoczone dowody wskazują, w jakiej mierze są nieżyciowe tego rodzaju pretensje, skierowywane przez czynniki żydowskie pod adresem ludności rdzennej w Polsce. Ale zrozumienie tego faktu, rzecz naturalna, nie jest dostępne żydom, jako żywiołowi, pozbawionemu — dzięki bytowi w rozproszeniu — poczucia rzeczywistości.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

MÓWMY O NATURZE RZECZY

W PRZEDOSTATNIM numerze „Myśli Narod." p. Frycz zaatakował ostro tych, którzy współczesną przemianę określają, jako powrót do średniowiecza. P. Frycz uderzył pięścią w stół i oto odzywają się nożyce. Nie byłem w jego artykule osobiście zaczepiony, ale jestem jednym z tych wycieczkowiczów w średniowiecze, których to wszystkich w czambuł p. Frycz odsądza od rzetelności myślenia. Bodaj nawet ja właśnie ostatni na łamach „Myśli" określenia tego używałem.

P. Frycz przeprowadził klasyfikację poglądów na współczesną przemianę i wyróżnił reakcyjne oraz rewolucyjne. Pierwsze głoszą ci, którzy uciekają od teraźniejszości w przeszłość z pominięciem warunków specjalnych tej teraźniejszości, drugie ci, którzy uciekają od teraźniejszości w przyszłość, nie bacząc na warunki, wytworzone przez ciąg dziejowej tradycji. Głosiciele powrotu do średniowiecza umieszczeni zostali w pierwszej klasie. Słuszność zaś leży pośrodku — nie należy uciekać od teraźniejszości ani w tę, ani w ową stronę, ale przetwarzać ją ewolucyjnie.

Każda klasyfikacja ma to do siebie, że zjednywa samą już swoją schludnością i porządkiem. Ta zaś tembardziej, bo potwierdza mechaniczną prawie nieomylność zasady, że prawda leży pośrodku. Ta jednak cecha kasyfikacji może być nietylko zaletą dydaktyczną, ale także i wadą — wtedy mianowicie, gdy kokieterja porządku sprowadza czytelnika na błędne tory. Sądzę, że jakkolwiek nie ten dokładnie, to jednak podobny wypadek tutaj zachodzi.

Nie neguję słuszności klasyfikacji p. Frycza w obrębie tego, co on jako materjał swej klasyfikacji podaje. Mam pewne jednak wątpliwości czy materjał ten ściśle odpowiada rzeczywistości. Zdaje mi się, że ów zachęcająco porządny podział dziś już trafia w próżnię, a morał jaki zeń wynika akcentowany jest nieco rutynistycznie. Dyskusję bowiem na temat przebudowy świata w nowe wspaniałe kształty, czy to przez wskrzeszenie form dawnych, czy to drogą gruntownej rewolucji, mamy już poza sobą. Załatwił to za nas wiek XIX i jego echa w ostatnich czasach. Pouczał nas o tych rzeczach już Asnyk, trzeźwy pozytywista. Same terminy: „reakcja" i „rewolucja" to dziedzictwo po tej epoce, której koniec dziś głosimy i nie mają już dziś tej podstawy w światopoglądzie, jaką miały dawniej. Związane są bowiem najściślej z tem widzeniem świata, wedle którego świat jest postępowym ciągiem nieograniczonych przemian. Cenne stwierdzenie równoległości reakcji i rewolucji ma też dla mnie wartość raczej jako obserwacja historyczna, odnosząca się do mijającej epoki.

Możliwy zaś jest światopogląd inny — jak go nazywam: statyczny, w którym te terminy i oznaczane przez nie zjawiska nie mają uzasadnienia. Prądy reakcyjny i rewolucyjny nie są zjawiskami, któreby z tego światopoglądu wynikały z koniecznością logicznego następstwa. W średniowieczu na przykład (dziad swoje, baba swoje) darmoby bodaj ich szukać [1]). Statyczny bowiem światopogląd tej epoki uznawał stałość pewnych elementów świata i jego porządku, w związku z czem i kwestja zmian, jakie przynosi przyszłość, inaczej się wtedy ludziom przedstawiała. Obie tendencje — zmieniania i zachowywania były tu w jakiś paradoksalny sposób zespolone, a roz-

---

[1]) J. Huizinga, w książce swej p. t. „*Du declin du moyen — âge*" tak pisze o aspiracjach średniowiecza „*vers une vie plus belle*": ...„We wszystkich czasach trzy drogi prowadziły do życia idealnego. Naprzód — potępienie świata. Wszystkie wielkie cywilizacje opierały się na niem. Chrystjanizm uczynił je jedną z baz doskonałości, tak że trudno było przejść do drugiej — ulepszania świata. Średniowiecze zaledwie ją znało. Świat wydawał się tak dobry i tak zły jak tylko mógł być. Instytucje były dobre, jako ustanowione przez Boga, ale grzech ludzki trzymał świat w nędzy. Idea świadomego wysiłku ku ulepszeniu i reformie instytucyj politycznych i socjalnych — nie istniała. Uczynić *maximum* dobrego wedle swych możliwości na swej własnej drodze, to była cnota, która mogła profitować dla świata, ale i tu prawdziwy cel był poza światem. Nawet kiedy stworzono jakąś nową formę społeczną uważano to za przywrócenie starego dobrego prawa, albo poprawienie błędu. Trzecia droga ku piękniejszemu światu, najłatwiejsza i najbardziej zwodnicza, to droga marzeń. Skoro rzeczywistość jest tak nikczemna, potępenie świata tak trudne, żyjmy w świecie fantazji. Prosty akord — bohaterstwa, cnoty i radości życia w naturze... Ta trzecia droga ku piękniejszemu światu jest nietylko sprawą literatury. Sięga ku formie i głębi życia społecznego i to tem silniej im bardziej prymitywna jest cywilizacja. Sen o doskonałości czyni życie dziełem sztuki".

wój przyszłości nie przedstawiał się chimerycznie. Rzecz jasna, że reakcja i rewolucja, w sensie pierwiastkowych tendencyj są zjawiskami stałemi, ale o sensie dużo węższym, a już w światopoglądzie statycznym zgoła innej nabierają barwy.

Jako przeciwstawienie reakcji i rewolucji, pojęć mijającej epoki, zjawia się niemal automatycznie ich rówieśniczka — ewolucja. I cóż to w gruncie rzeczy znaczy? Czy nie jest to czasem prosty wynik jakiejś mechaniki pojęć, która odwodzi tu od rzeczywistości? Warto odkurzyć to słowo, przypomnieć sobie jego sens pierwotny. „Ewolucja" to termin przyrodniczy. Oznacza on przekształcenie się form istniejących w nowe, które jednak uwarunkowane są przez te dawne. Ewolucja przeniesiona na teren spraw politycznych i społecznych byłaby tedy w pewnym sensie uleganiem rzeczywistości, nie zaś jej przekształcaniem. Tymczasem tu zdarzają się przerwania ciągu — i to jest słuszny punkt wyjścia „rewolucjonistów", którego p. Frycz nie dostrzega. „Reakcjoniści" zaś mogliby przy tej okazji powiedzieć, że przerwanie ciągu może polegać na wskrzeszeniu czegoś, co było już dawniej, podczas gdy ewolucja przyrodnicza wyklucza powrót do form, które już w jej przebiegu minęły, chyba że jest to ewolucja cykliczna.

Twierdzenie, że winno się iść naprzód drogą ewolucji wypływa u p. Frycza z postulatu nieuciekania od teraźniejszości. Otóż jeśli ma być przetwarzanie to musi być ucieczka od rzeczywistości. Jeśli bowiem chce się nad rzeczywistością panować, to trzeba się z niej wyłączyć, stanąć ponad nią.

I tu przy okazji podziału p. Frycza warto bodaj przypomnieć inny — stary, platoński podział na ideje i materję, tudzież syntezę arystotelesową, osiągniętą poprzez pojęcia materji i formy w pojęciu materji uformowanej [2]).

Otóż — (ten użytek publicysta osiąga z Platona) owa konieczna ucieczka od rzeczywistości to ucieczka w świat idej, rozważań o samej naturze rzeczy. Wszelkie rozważania o przyszłości, takie, które mają być czynnikiem tę przyszłość kształtującym, w tej sferze mają grunt istotny, nie zaś w zewnętrznych cechach powrotu, czy też wypadu w przyszłość. Tembardziej, że jak poucza arystotelesowa synteza, w materji uformowanej (którą jest owa rzeczywistość) czynnikiem sprawczym i celowym jest forma, element pojęciowy. Forma-energja aktualizuje potencję zawartą w materji, prowadząc ku entelechji. Podział ten bije w częste dziś uznawanie „życia" za jakąś kategorję absolutną, przez co rozważania osądza się często nie z uwagi na to, czy są słuszne, ale czy są „życiowe".

Wyciągnijmy teraz wnioski z uwag krytycznych.

Sądzę, że przemiana współczesna polega na zwrocie ku światopoglądowi statycznemu. Sądzę także, że zwrot ten w dużej mierze już się dokonał, a tylko dziedzictwo terminów epoki mijającej wielokrotnie utrudnia porozumienie. Dlatego wydaje mi się, że oceniając w pełni historyczną wartość klasyfikacji p. Frycza, możemy się zgodzić na to, że ta prawda, iż nie sposób powrócić do życia form starych, ani nie sposób przebudować rzeczywistości całkiem od nowa jest już wspólnym dorobkiem naszych czasów, że nie jest własnością jednostki, czy jednostek, ale że można już, w pewnym choćby zakresie, publicznie dyskutować, przyjmując ją jako milczące założenie. Zgódźmy się dalej na to, że życie nie jest czemś absolutnem, ale realizacją pewnych form idealnych w materji i że zatem wszelkie usiłowanie kształtowania życia musi wychodzić od ucieczki od rzeczywistości współczesnej w świat idei czystej, natury rzeczy, czy jak to nazwiemy.

Zgoła inaczej będzie wtedy wyglądała kwestja „powrotu do średniowiecza". Będzie już bowiem wiadomo, że nie chodzi tu o przenoszenie starych form w nowe czasy, ale poprostu o s p r e c y z o w a n i e zarysów pewnej wizji przyszłości. Marzycielscy ponoć wycieczkowicze w średniowiecze okażą się wtedy jako ludzie bodaj ostrożniejsi od ich oponentów. Skoro bowiem mamy mówić o p r z y s z ł o ś c i, a więc o czemś, czego jeszcze nie znamy, a najwyżej przeczuwamy, o czemś nadto, co ma być odmienne od współczesności, n i e - w s p ó ł c z e s n e, to niewspółczesne formy nadają się jako materjał do precyzowania zarysów tej przeczuwanej wizji. Te zaś są tylko jedne — mianowicie historyczne, jedyne, które są nam znane, a trudno mówić o czemś co jest nieznane w nieznanym jeszcze języku. Jest to zresztą kwestja metody, ale pierwszy sposób wydaje mi się ostrożniejszy, i sądzę nawet, że to drugi daje więcej okazji do frazesu i płycizn. Zwolennicy obu metod jednak z łatwością się pogodzą, gdy zdadzą sobie sprawę z tego, że rozmawiają właśnie w sferze rozważań o naturze rzeczy, idei czystej czy jak to inaczej nazwiemy.

Nawiązując zaś do arystotelesowej syntezy i to warto powiedzieć, że nowe kształty życia powstać mogą jedynie z konkretnej, kształtującej twórczości, z aktualizowania potencji. Czy tedy do kształtującej wizji dochodzić się będzie drogą powrotów, czy skoków w dal — to mniejsza. Byle drogą rzetelnego myślenia. Każdy artysta wie dobrze o tem, jak zetknięcie z materjałem zmienia wizję, jak materjał narzuca swoje wymagania. Ale nie przeszkadza mu snuć wizyj to, że w zetknięciu z materjałem wizje okazują się „nieżyciowe", bo właśnie ich „nieżyciowość" pozwala okiełznać, pokonać materjał i przekształcić go, aby był nie kawałkiem drzewa, czy granitu, ale dziełem sztuki. Twórczość zaś narodowa w wielkiej mierze podobna jest do twórczości artysty. Skoro zaś i to przyjmujemy, że powrót starych form jest w istocie niemożliwy, bo na to nie pozwalają aktualne warunki, zatem, o tej prawdzie dobrze pamiętając, przypominać warto raczej to tylko, że nie o słowa spierać się należy, ale o naturę rzeczy i o niej mówić. A wtedy punkt ciężkości przeniesie się istotnie na rzetelność myślenia. Cóż stąd, że „powrót do średniowiecza" bywa powtarzany jako frazes — czyż „ewolucja" nie może być także frazesem? Jeśli tedy możemy się skarżyć na nadużywanie frazesów, to nie omawiana klasyfikacja jest na ten stan lekarstwem.

* * *

Po tylu argumentach negatywnych warto przytoczyć także nieco pozytywnych. P. Frycz powiada, że zamiast „średniowiecze", wystarczy mówić „katolicyzm". Otóż, pomijając kwestję możliwości powrotu do jakichś konkretnych instytucyj średniowiecznych, co byłoby rzeczą osobnej dyskusji, o tem przedewszystkiem należy się wy-

---

[2]) Niechże mi obaj starożytni mędrcy wybaczą publicystyczną dowolność interpretacji.

powiedzieć. Czy istotnie wystarczy? Czy to pojęcie jest dziś jednoznaczne?

Powiedzieć: katolicyzm, to zamało. Nie dlatego, broń Boże, że katolicyzm to mało, ale dlatego, że katolicyzm to dużo więcej niż się to dziś przeciętnie rozumie. Te czasy bowiem, które oddzielają nas od średniowiecza, przez swe atomizujące działanie rozbiły w pojmowaniu powszechnem jedność religji i kultury, jako uprawy ducha, a równocześnie pojęciu kultury nadały sens bardziej mechaniczny. Religję zamknięto w kościele, ograniczono do tego, co się nazywa „praktykowaniem", odcięto od życia, które szło swoją niezależną drogą żelazną materjalizmu i mechanizacji. Otóż w średniowieczu było inaczej — katolicyzm był siłą sprawczą kultury. Ale właśnie pojęcie katolicyzmu jako szerokiej idei, twórczej w dziedzinie kultury, zostało zagubione. Dlatego, aby je przypomnieć, warto mówić o średniowieczu. A warto dlatego także, że katolicyzm nietylko został wydzielony z życia, ale i sam się z niego wycofał. Chodzi mi o to, że nietylko człowiek świecki, ale i Kościół uległ temu przekonaniu, iż religja jest tylko kwestją „paktyki". Warto więc aby nietylko człowiek świecki ale także, a nawet przedewszystkiem duchowieństwo patrzyło na tę epokę, kiedy to było inaczej. Tembardziej, że jakkolwiek Kościół wszedł już dziś na tą drogę, powrót do tego, co możnaby nazwać światopoglądem katolickim, wykraczającym poza sferę praktyki ściśle religijnej, dokonywa się dziś w znacznej mierze i niezależnie od Kościoła , mianowicie poprzez spirytualistyczny nacjonalizm.

Warto też przytoczyć i uzasadnienie historyczne. Oto „powrót do średniowiecza" to nie zmyślenie — słowa te wiążą się z silnym prądem zainteresowania tą epoką. A prąd ten to bodaj czy nie pierwsza jaskółka nowych czasów. Przytem, jeśli istotą tych nowych czasów jest powrót do katolicyzmu, to właśnie to zainteresowanie średniowieczem było pierwszym krokiem w tym kierunku. Zeświecczeni, patrzyliśmy na rzeczy świeckie i dopiero zainteresowanie kulturą średniowiecza wskazało na związek kultury z religją w sensie twórczego światopoglądu. Dziś możnaby może zastąpić średniowiecze katolicyzmem, ale dziś dopiero kiedyśmy przeszli przez lekcję średniowiecza.I jeśli nawet mielibyśmy zarzucić słowo „powrót"—nie zarzucajmyż zainteresowania tą epoką jako, bądź co bądź, wzorem.

HENRYK EYSYMONTT

NAPRZEKÓR LOGICE

JESZCZE raz muszę zająć uwagę czytelników sprawą jotowania w pisowni polskiej, o czem niedawno, w zeszytach 13, 15 i 16 „Myśli Narodowej" pisałem. Właśuie ukazał się w prasie szósty komunikat Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademji Umiejętności, zawierający ostateczne Komitetu uchwały, do zatwierdzenia ministerstwu przedstawione. Wobec tego i nam tu wypada zapoznać się z zakończeniem sprawy, względem której każdy już miał możność zajęcia stanowiska określonego.

Jak wiadomo, obchodzą nas tu tylko punkty uchwał, które dotyczą używania liter *i*, *j*, oraz *y* w słowach pochodzenia obcego, a także formy dopełniacza liczby pojedyńczej i mnogiej słów spolszczonych z końcówkami typu *linja*. Przytaczam dosłownie te dwa punkty ostatecznych uchwał Komitetu, poprzedzone krótkim wstępem szóstego komunikatu K. O. P. A. U.:

„Komitet Ortograficzny Polskiej Akademji Umiejętności odbył d. 20 i 21 1936 kwietnia swe szóste i ostatnie zebranie przy udziale 22 członków, aprobując pełny tekst przepisów i słownika, które będą wkrótce oddane ministerstwu W. R. i O. P. do zatwierdzenia dla szkół. Przyjęto bez sprzeciwu większość dotychczasowych uchwał, a dyskutowano ponownie tylko te, które poprzednio lub na ostatniem zebraniu wywołały zastrzeżenia *(vota separata)* choćby w szczegółach.

1. Potwierdzono pisownię w wyrazach typu *Maria*, *diecezja*, t. j. postanowiono — jak poprzednio — pisać *j* tylko po *s*, *z*, *c*; po wszystkich zaś innych spółgłoskach — *i*, np. *Maria*, *diecezja*, *Holandia*, *miazmat*, *premia*... (14 głosów za, 1 przeciw, 5 wstrzymujących się)."

Tu następuje opis zachowania się tego jednego członka, który głosował przeciw. Że to jednak nikogo spoza Komitetu nie obchodzi, więc opis ten opuszczam, przechodząc do punktu następnego:

„2. Uznając za normalne nierozróżnianie dopełniacza liczby pojedyńczej i mnogiej, jako nieistniejące w żywym języku, dopuszczono jednak formę oboczną dopełniacza liczby mnogiej—*yj*, —*ij* w wypadkach niepewności, zwłaszcza w języku naukowym, prawniczym, administracyjnym: *sesji: sesyj racji: racyj*, *linii: linij*... (16 głosów na 19).

O ile kto zechce szczegółowo ocenić pewne różnice pomiędzy tą uchwałą Komitetu a poprzedniemi, przypominam, że poprzednią uchwałę przytoczyłem w zeszycie 15 „Myśli Narodowej" z dn. 5 kwietnia w rozprawce p. t. „Ustalanie pisowni", zaś jeszcze „poprzedniejszą" uchwałę tegoż Komitetu—w zeszycie 13 „M. N." z dn. 29 marca w rozprawce p. t. „Wojna o jotę". Zaznaczam to mimochodem dla tych, którzy zechcą plastycznie uprzytomnić sobie figury kontredansa, publicznie przez Komitet Ortograficzny odtańczonego. A teraz przejdźmy do sedna sprawy podjętej.

W przytoczonych tu punktach uchwały Komitet Ortograficzny powziął postanowienia swoje nietyle wbrew, — bo nie chcę o wielu jego umysłach powątpiewać — ile naprzekór logice, jako, być może bezwolne narzędzie hypnozy zbiorowej, w kraju naszym obecnie tu i ówdzie czynnej, a już wielekroć w różnych sprawach ujawnianej.

Aby to przypuszczenie swoje o bezwolności Komitetu uzasadnić, powtórzę tu, lecz w ujęciu nieco odmiennem, już raz omówione właściwości języka polskiego i jego pisowni, do których owe punkty uchwały komitetowej niebywały zamęt wnoszą. Odległość dzieląca odnośne uchwały Komitetu od logiki przekona, jak sądzę, każdego, że tu nie umysł Komitetu chybił, bo, poprostu, był w tej sprawie nieczynny, ale wola przez jakąś hypnozę nastawiona i popchnięta.

W charakterze i zastosowaniu swojem litery *y*, *j* oraz *i* w pisowni wszystkich słów polskich, albo gruntownie spolszczonych, nie nastręczają żadnych trudności ani wątpliwości. Litera *y* oznacza samogłoskę twardą o dźwięku, który znamy ze słów: *my*, *ryk*, *przybysz*, *wyobraźnia* i t. p. Litera *j* oznacza spółgłoskę miękką, o dźwięku, który znamy ze słów: *rój*, *jama*, *moja*, *objazd* i t. p. Litera *i* ma dwa znaczenia: 1) wstawiona pomiędzy poprzedzającą spółgłoskę a następującą samogłoskę przestaje być literą, a staje się znakiem zmiękczającym oba dźwięki sąsiednie i zwierającym je w jedną zgłoskę, dźwiękowo nierozerwalną, o wymowie, którą znamy ze słów: *wia-ra*, *bieda*, *ko-niu-szy* i t. p. 2) we wszystkich innych zestawieniach litera *i* oznacza samogłoskę miękką o dźwięku, który znamy ze słów: *in-ni*, *win-ni*, *sto-i*, *i-mać*, *zwid* i t. p. Połączenia tych trzech liter pomiędzy sobą są również jasne i niewątpliwe, co widać z następujących przykładów: *wyj*, *ry-je*, *kij*, *wi-je*, *wy-is-kać*, *szy-i*, *żmi-i*, *Ros-ji*.

Rola trzech liter omawianych w pisowni polskiej jest, jak widzimy, prosta i jasna. Komitet Ortograficzny miał przed sobą wdzięczne i bardzo łatwe zadanie: tę samą rolę, i w tym samym do wymowy stosunku, wyznaczyć tym trzem literom także dla słów pochodzenia obcego typu *Marja*, *dyjecezja* i *tryumf*. Cóż natomiast uczynił?

Uchwalił przedewszystkiem pisanie joty tylko po *s*, *z*, *c*, po wszystkich zaś innych spółgłoskach — pisanie *i*. Jak zatem mamy nadal czytać w pisowni tej takie słowa, jak *Maria*, *premia*, *kurier* i t. p.? Należy przypuszczać, że Komitet nietylko nie sięgał uchwałą swoją do wymowy, ale nawet o niej nie myślał, czyli, że „zezwolił“ na dotychczasową tych słów wymowę. Pisząc tedy *Maria*, mamy wymawiać *Mar-ja*, pisząc *premia*, mamy nadal wymawiać *prem-ja*, pisząc *kurier* mamy, jak dawniej, wymawiać *kur-jer*. Cóż to znaczy?

Znaczy to, że do dwu czynności, jakie spełnia litera *i*, komitet dorzucił jeszcze trzecią czynność: litera *i* ma oznaczać także dźwięk *j*, czyli, że obok roli znaku zmiękczającego i obok znaczenia samogłoski, ma jeszcze oznaczać spółgłoskę, którą w pisowni oznacza już jota. To jest jeden zamęt do pisowni polskiej przez uchwałę Komitetu wprowadzony.

Drugi zamęt polega na tem, że ową trzecią czynność litera *i* nie we wszystkich słowach pochodzenia obcego ma spełniać, ale tylko po niektórych spółgłoskach z wyłączeniem *s z* i *c*, po których trzeba, pisać jotę. Dlaczego ten wyjątek? Dlatego, żeby „uniknąć wymawiania” *Ro-sia* (jak *sia-dać*), *A-zia* (jak *ziarno*) i *Fran-cia* (jak *cio-cia*). No, przypuśćmy! Ale jak w takim razie uchronić biednych obywateli od wymawiania *pre-mia* (jak *mia-ra*) zamiast *prem-ja*, albo — *re-wia* (*jak wiara*) zamiast *rew-ja*, albo *har-pia* zamiast *harp-ja*, *ma-fia* zamiast *maf-ja* i t. d. i t. d. w całem mnóstwie słów podobnych — ??! Dlaczego po jednych spółgłoskach obywatel ma być chroniony, a po innych bez ochrony ma być pozostawiony? Ale i na tym zamęcie jeszcze nie poprzestano.

Trzeci zamęt komitetowy polega na tem, że uchwała wprowadza i pisownię i wymowę miękkiej samogłosłoski *i* po spółgłoskach *d* i *r*, a więc tam, gdzie język polski z całą stanowczością wymawia, a pisownia pisze twardą samogłoskę *y*. Słowa *diecezja* i *triumf* w takiej pisowni przez Komitet za przykład podane świadczą niewątpliwie, że Komitet uznaje wymowę *di-ecezja*, oraz *tri-umf*, co gwałtownie przeczy i duchowi języka polskiego i żywemu tych właśnie słów a powszechnemu wymawianiu. Polacy mówią wyraźnie *try-umf*, *dyjecezja*.

Wszystkie te trzy zamęty mieszczą się w obszerniejszym czwartym zamęcie: po półtorarocznej pracy dwudziestogłwy Komitet nie domyślił się, że pisownia słów pochodzenia obcego powinna być całkowicie uzależniona od istniejącej i na całym obszarze języka obowiązującej pisowni słów polskich o wymowie dla danych zgłosek analogicznej. Zatem: *biurko* należy pisać według wymowy jak *piórko*, *djabła* — jak *zjadła*, (ten) *wijatyk* — jak (tych) *bijatyk*, (tej) *dyjecie* — jak (wy) *tyjecie*, (tej) *Pii* (imię żeńskie) — jak (tej) *żmii*, *tryumfalny* — jak *wyuzdany*, (tych) *fobij* — jak *dobij*, (tych) *historyj* — jak *ryj*, *poryj*, *myj i pomyj*, w *armji* — jak (w tej) *Warmji*, (tej) *sesji* — jak (tej) *Rosji*. Zestawienia tu wyszczególnione wyczerpują wszystkie możliwości w odpowiednich zgłoskach słów pochodzenia obcego, a co do wymowy żadnych wątpliwości nie budzą. (Kilka słów o typie *bi-oksyd*, jako muzealne okazy gwary naukowej, możemy zostawić na uboczu, o nielicznych zaś licencjach i obocznościach mówiłem w rozprawie „Poskromienie joty złośnicy” w zeszycie 16 „M. N”).

Do omówionych zamętów pierwszego punktu dodać trzeba jeszcze zamęty drugiego punktu uchwały. Tu naprzód Komitet uznał, że w słowach typu *sesja*, *linja*, *racja* rozróżnianie dopełniacza liczby pojedyńczej i mnogiej w żywym języku nie istnieje. Twierdzenie to jednak pozostaje w jaskrawej sprzeczności z prawdą codziennego w żywym języku doświadczenia. Zarówno w języku mówionym, jak pisanym, w najbardziej wymownej sferze warstwy oświeconej (a więc wśród adwokatów, dziennikarzów, literatów, sędziów, kupców, przemysłowców, inżynierów, urzędników, lekarzów, i t. p.) każdy badacz bezstronny zauważy jeśli nie powszechne, to w przeważnej ilości istniejące rozróżnianie w omawianych słowach dopełniaczów liczby pojedyńczej i mnogiej. Tam, gdzie tej różnicy narazie nie zachowują, istnieje przynajmniej dążenie do niej, a to w postaci wahań, rozglądań się i poszukiwań.

Pomimo rozminięcia się z prawdą życia językowego Komitet „dopuszcza” wyjątkowe rozróżnianie obu dopełniaczów i podaje nawet gotowe końcówki dopełniacza liczby mnogiej — *yj*, — *ij*. Zjawia się przeto pytanie, skąd Komitet wziął te końcówki? Czy na poczekaniu ukuł je, czy też z jakiego martwego języka zapożyczył, skoro utrzymuje, że w żywym języku zgoła nie istnieją? Wziął je, oczywiście, z literatury i z mowy, bo stąd końcówki te pełnemi pokosami zgarniać można.

Uczynił tedy Komitet ustępstwo dla wyjątkowych „wypadków niepewności”, czyli zamiast narzucającej się tu życiowej reguły, nowy zamęt wprowadził. Ale nie poprzestał w danym punkcie na zamęcie ogólnikowym. Postanowił go uzupełnić jeszcze trzema poszczególnemi zamętami, uchwalając owe „oboczności w wypadkach niepewności” stosować „zwłaszcza w języku naukowym, prawniczym, administracyjnym”. Zamiast jednego języka

polskiego Komitet uznał wiele języków, z których trzy palcem pokazał. I ma być oto dla adwokatów wiele, bardzo wiele *sesyj*, dla urzędników skarbu ogromna większość *racyj*, a dla nauczycielów w szkołach powszechnych — przewaga *linij*. Wszyscy inni obywatele mają poprzestać na jednej skromnej *sesji*, *racji* oraz *linji* ortograficznej, chociażby myśleli o wielu.

Przypominam, że w sprawie dopełniacza liczby mnogiej dla słów omawianych (w rozprawie „Wojna o jotę" w zeszycie 13 „M. N".) przytoczyłem proste i jasne rozwiązanie, jakie właśnie samo życie mowy polskiej stworzyło. Reguła w tem rozwiązaniu zawarta zgadza się z duchem języka polskiego, z jego życiem potocznym, a także z wnioskiem logiki, z naukowych badań wyprowadzonym.

W wyniku zestawionych tu wywodów można omawianym punktom uchwały Komitetu Ortograficznego taki horoskop postawić, że chociaż narzucone będą szkołom i książkom ze szkołami związanym, to jednak żaden szanujący się pisarz polski do uchwały w zakresie tych punktów stosować się nie będzie. Żywy język polski w sprawie tu omówionej w innym zgoła podąża kierunku, a będąc w zgodzie z logiką i duchem mowy polskiej, prędzej czy później—zwycięży.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

MICKIEWICZ

W Warszawie niedziele są długie jak Aleje Ujazdowskie.
Nuda podeptana świątecznemi krokami przechodniów,
przystaje koło owocarni i kiosków,
w tramwajach chłodniej.

Na skrzyżowaniach ulic zderzają się z sobą dzwonki i klaksony
gdzieś na plakacie pachnie napis: „Mydło Elida",
środkiem jezdni suną auta—śliski świst owija opony—

a ja idę, idę.

Zmierzch kładzie się szerszemi cieniami,
cień mój opadł także jak liść,
to chyba smutek.
Patrzę jak cień się na murach boleśnie łamie,
jak wyrasta ze skrzypu butów.
Dokąd tak iść —
— dokąd?

Nowy Świat—Krakowskie Przedmieście.

Mrok wzbierał w otwartych bramach,
przed autami jasno biegły reflektory,
chyba wyloty ulic tej nocy nie zmieszczą,
wzrok mi się łamał:

Warszawa — życie — jutro — dziś — i — wczoraj —

Tak bez celu krzyczą na ciemność klaksony,
tak źle.

Od Wisły przyszedł wiatr i szumiał buro,
bił w szyldy, szorstko kładł się autom pod opony,
oczy patrzą ukryte we wietrze jak w śpiewie.

Nad ulicą oparty o chmury
Mickiewicz.

Kraty wokół pomnika podważone gwarem
w trupim blasku latarni zadrgały.
Gdzieś nad kościołem nieszpór pośród dzwonów konał,
gdzieś dymiła muzyka z otwartych drzwi barów.

A na pomniku przeszłość: znajome imiona —
Naród.

Nad ciemnością twarz jasna jak świt:
Naród.

Biegłem miastem: ulice — tramwaje — neony —

Wstyd.

JERZY PIETRKIEWICZ

NA WIDOWNI

BB zgadza się na „Naród", ale z odpowiednią „interpretacją". — Podejmuje się pośredniczyć: z „mgiełek" i „westchnień wytworzy potęgę". — O tem jakie ma do tej twórczości kwalifikacje. — Trzeba wybrać stołek.— Czy można walczyć, siedząc okrakiem na barykadzie? — Czy potrzebne pośrednictwo?

NA ŁAMACH prorządowej „Gazety Polskiej" ukazał się znamienny artykuł, zapowiadający nową urzędową organizację sił politycznych. Nie będzie to partja, lecz—„organizacja". Organ sanacyjny podaje ściśle datę powstania tej organizacji. Dnia 24 maja z rozkazu generała Rydza Śmigłego, który objął dowództwo nie tylko nad armją, lecz i nad moralnemi siłami narodu, kadra ruszyła w pole. „Twardy i wypróbowany wódz pchnął ją naprzód. Twardy i wypróbowany komendant został przezeń postawiony na czele". Dziennik wyraża nadzieję, że ta akcja, wszczęta 24 maja 1936, „skończy się zwycięstwem".

Wszystko brzmi tutaj ogólnikowo i tajemniczo. O jakiem konkretnie zwycięstwie mowa, kto stanął na czele?— niewiadomo. Jedynie domyśleć się łatwo, że tą twardą i wypróbowaną kadrą są legjoniści pod twardym i wypróbowanym Kocem.

Dzienniki, powtarzające tę wiadomość, nazywają nowy twór „organizacją polityczną Narodu". Poprostu nie wiedzą jeszcze, jak to nazwać, boć przecie „organizacją polityczną narodu", jak wiemy z podręczników, jest Państwo, a to już istnieje.

Ale mniejsza o to. Najważniejszym momentem dla publicysty jest w tym wypadku zabłąkany tutaj wyraz: Naród. Od dziesięciu lat nie był on w sanacyjnej gwarze politycznej używany, zastępowano go wyrazami pochodnemi od „społeczeństwo", często brano go ironicznie w cudzysłów. Więc fejletonistę to właśnie zastanawia, zajmuje go bowiem raczej filozofja pomysłów, niż sam fakt, o którego karjerze powiedzą w przyszłości reportaże.

Od dziesięciu lat kazano nam wierzyć, że źródłem świadomości, a więc woli dziejowej jest jednostka, uosabiająca państwo. Obecnie „Gazeta Polska", poinformowana widocznie o motywach towarzyszących tworzeniu nowej organizacji, podaje, że źródłem tej świadomości dziejowej jest Naród.

Konstrukcja tego nowego poglądu jest taka: „Naród—to jest wola". Krótko: wola. Tak, jak utrzymywał filozof nasz J. Gołuchowski: „*volo-ergo sum*", ale i więcej jeszcze. „Naród to jest wola takiego, a nie innego k s z t a ł t o w a n i a d z i e j ó w, wola idąca nie przez jedno żyjące pokolenie, lecz poprzez wieki, wola zmierzająca do urzeczywistnienia w ł a s n e g o i d e a ł u życia, własnego ideału człowieka".

Mamy w tej definicji odpowiedź na pytanie, którem przez dziesięć lat kazano się nam dręczyć,—kto jest podmiotem polskiej woli dziejowej: naród polski, czy też wszyscy obywatele państwa w bieżącej chwili dziejów? Oczywiście „wola, idąca poprzez wieki, zmierzająca do urzeczywistnienia własnego ideału życia", wola tworząca cywilizację polską, jest wolą narodu polskiego.

Uznanie tej prostej prawdy aksjomatycznej byłoby wielkim postąpem na drodze samosanacji pojęć sanacyjnych. Pozostaje jednak sprawa „interpretacji", co uznać za wolę narodu. Wiemy z dziejów ostatnich lat dziesięciu, że punktem wyjścia dla czynów „sanacji" była zwykle nie jakaś zasada, lecz jej „interpretacja", to znaczy sofistyczne nakręcanie zasady do potrzeb partyjnej taktyki politycznej.

A więc i tutaj: co uznać za wolę narodu? Wtajemniczony w sprawę publicysta „Gazety Polskiej" tak tę rzecz „interpretuje": Owa „wola" jest najczęściej „n i e ś w i a d o m a", najczęściej nieświadoma środków, jakiemi dać może wyraz swojemu istnieniu — i dlatego „w d z i ę c z n a [jest, będzie] tym, którzy ją umieją wyzwolić i scałkować, w miljonach piersi jednocześnie odszukać i zjednoczyć w zespołowym wysiłku".

Jak z tego wywodu widać, nowa organizacja sanacyjna będzie zespołem takich „speców" od wyzwalania woli narodu i jej realizowania. To będzie dla niej wolą Narodu, co ona za taką uzna, i to będzie realizować, mając w swym ręku rządy.

Różne były dotąd w dziejach państw europejskich sposoby sondowania woli narodu: była po temu nauka historji, opinja, organizująca się przy pomocy prasy, literatury, rozmaitych instytucyj, stronnictw, parlamentów. Te sposoby wydają się widocznie w tym wypadku niewystarczające. Wogóle, czego naród chce naprawdę, niewiadomo, bo on sam nie wie; trzeba to z niego wydobyć umiejętnie.

Twórcy tego nowego łącznika między narodem a państwem mają na „wolę narodu" pogląd, zalatujący metafizyką Schopenhauera, a może tylko teorją stanów przedświadomości Freuda. — „Wola" — czytamy w motywach — „jest codzień przysypywana troskami dnia powszedniego, zasklepiana radością i smutkiem... Uczynić tę wolę — z zamglonego instynktu, z nieokreślonego porywu, z błędnego ognika uczucia, z nieświadomego odruchu—wysiłkiem, pracą, świadomem działaniem, uczynić jej prawdę, prawdą dominującą — to znaczy—i to jedno znaczy naprawdę—tworzyć potęgę Narodu".

Jest w tem wiele przesady. Ktoś, co to pisał, traktuje rzecz zbyt mistycznie. Wymiarkować wolę narodu polskiego nie jest tak trudno. Jego życie psychiczne nie składa się przecie tylko z czynności „zamglonego instynktu", „nieokreślonego porywu", „błędnego ognika uczuciowego", „nieświadomego odruchu". Taki pogląd na psychikę narodu, mającego za sobą tysiąc lat dziejów, jest bardzo charakterystyczny dla ludzi, którzy młodość poświęcili ideałom międzynarodówki i nie mieli czasu, ani serca przyglądać się bliżej życiu narodowemu. Wiedzą o niem tyle, ile w ich własnych duszach: coś z tego życia do świadomości dochodzi ze wspomnień dzieciństwa, z atmosfery dawnej domowej — jakaś mgiełka, jakiś odruch, jakaś tęsknota. Tyle lat antypatji oddziela ich od tego świata, że dziś, gdy moda na „naród", choćby ten i ów chciał, już nie umie odtworzyć w sobie pełni życia narodu, oddać się mu całą duszą.

Umysł człowieka, dochodzącego zzewnątrz do ducha narodu, zdaje sobie niejasno sprawę, że to jest jakiś żywioł nieuświadomiony, ślepy, błędny; on dopiero, jako że jest umysłem „mechani-

ka" społecznego, potrafi z tego żywiołu zrobić należyty użytek; on go odciągnie na swój młyn; wtedy dopiero stanie się potęgą.

Słuszna jest dalsza przesłanka „Gazety Polskiej, że „państwo daje narodowi technikę potęgi". Oczywiście, państwo w oparciu o naród funkcjonujące ma możność nadania sobie takiego ustroju, aby „wola narodu" znalazła w nim należną nadbudowę myśli twórczej. Ale to wydaje się inicjatorom nowej organizacji niewystarczające. Potrzebne jest ich zdaniem ogniwo pośrednie, jakaś ręka ginekologicznej pomocy. Według nich naród jest amorfną, bezwiedną plazmą a z drugiej strony państwo, do niego przystawione, jest tylko mechanizmem. „Najlepszy ustrój państwa nie zabezpieczy [?] potęgi gdy brak w nim zorganizowanej, jednolicie kierowanej woli ludzkiej". Potrzebny jest więc ktoś, kto tę myśl—czy wolę sformułuje i mechanizmowi państwa podda. Wtedy dopiero „ta wola stać się może z uczuciowej mgiełki dotykalnem działaniem, z patrjotycznego westchnienia—chłodnym wysiłkiem".

Jednem słowem najistotniejsza część ustroju państwowego—inicjatywa polityczna — według tej koncepcji znajdzie się poza ramą ustroju. Zupełnie co innego przewidywała nowa konstytucja. Cóż będzie z kompetencją Prezydenta jako źródła woli państwowej? Czy to ma być uzupełnienie parlamentu, działające zzewnątrz, rodzaj elektrowni, poza gmachem państwa? Wieża ciśnień myśli politycznej?

— — — — — — — — — — — —

Konkretnie rzecz biorąc, sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Bo któż to będzie ową „twardą i wypróbowaną" kadrą interpretatorów woli Narodu? Ci sami ludzie, którzy dotąd o tę „wolę" nie dbali, a nawet tam, gdzie prawo zalecało szanować jej wyraz, interpretowali ją metodą p. Cara. Nie trzeba daleko szukać przykładów. Oto pod ręką sprawozdanie z procesu starosty Twardowskiego. Dlaczego uznany był za „najlepszego starostę na Pomorzu"? Dlatego, że okazał się „specem politycznym" w posługiwaniu się „kiełbasą wyborczą". Wiadomo przecież, że na Pomorzu ludność wypowiada się w duchu narodowym. Tam niema mowy o jakichś mgiełkach, westchnieniach, porywach, bo tam już jest zupełna świadomość woli narodowej i akuratność w wypełnianiu obowiązków wobec Państwa. Zadaniem Twardowskiego w Działdowie było „zmienić oblicze polityczne miasta i powiatu". Zasługą jego było w oczach „kadry", że do rady miejskiej i samorządu powiatowego weszła większość jej zwolenników. Co się działo w takowej gospodarce, to wymownie teraz ilustruje akt oskarżenia w procesie. Czemuż nie zwoływał zebrań Rady powiatowej?—pytają oskarżonego. — Nie mogłem — odpowiada — bo tam zasiadają ludzie innych przekonań politycznych.

Zrobiono tam wszystko, aby nic z mgiełek i westchnień narodowych nie doszło do świadomości państwa. Cóż mówić w tych warunkach o tem, jak interpretowane było prawo stronnictw narodowych w zakresie wypowiedzenia tego, co było już nie mgiełką, ale wyrazem świadomości wielkich odłamów zorganizowanego społeczeństwa!

Obecnie miarodajnym znawcą i rzecznikiem woli narodu ma być właśnie „sanacja". Ale jakże ona będzie naród spowiadać, kiedy naród nie ma już do niej zaufania, kiedy ona sama nie może mieć do siebie zaufania, bo skompletowała się dla innych celów i z innego przypadku, niż ten wysiłek moralny, który prowadzi do twórczego przeświadczenia, że się jest psychiczną jednością z narodem?

Do „kadry" należą np. ludzie p. Janusza Jędrzejewicza. Kto w niej zdawał sobie dotąd sprawę, czego ci ludzie chcą, jaką wolę sondują? Oto obecnie wypadek z Rzymowskim, redaktorem prorządowego organu. Posługiwać się takim organem znaczy tyle, co rozporządzać narzędziem badania „woli" społeczeństwa na użytek państwa, ale czy może być wiarogodnym rzecznikiem tej woli redaktor, który, należąc do „kadry", jednocześnie organizuje we Lwowie zjazd pisarzy komunistów, na którym okrzykują Lwów za stolicę Ukrainy?

Wileńskie „Słowo", organ sanacyjny, uznając, że nie jest to w porządku, wypisuje artykuł wstępny pod adresem „kadry" p. t. „Trzeba wreszcie wybrać stołek". „Słowo" utrzymuje, że ten zjazd propagandowy komunistów uzyskał aprobatę władz państwowych tylko dlatego, że „był organizowany, przygotowany i firmowany przez ludzi z t. zw. umiarkowanej lewicy sanacyjnej, że był firmowany w szczególności przez jego aktywnego uczestnika, członka państwowej Akademji Literatury, publicysty sanacyjnego, Wincentego Rzymowskiego".

Otóż, żeby się zjednoczyć z narodem, żeby się do niego przysiąść, trzeba „wybrać stołek", nie siadać okrakiem na barykadzie, gdy wrogowie toczą z narodem walkę.

Żeby kogoś spowiadać, wolę jego wyczuwać, wspólnej sprawy z nim bronić, i na życie potężne a sławne przez wysiłek i ofiarę go prowadzić, — na to trzeba w jedno z nim wierzyć i samemu jasny ideał życia w sobie hodować. Naród gotów był i jest iść razem w bezpośredniem zespoleniu ze swojem państwem i znajdzie zawsze środki na porozumienie się z tymi, którzy chcą iść razem z narodem, którzy przedewszystkiem wiedzą, co jest ich narodem. Pośrednicy - interpretatorzy są niepotrzebni. Trzeba sobie wybrać stołek—trzeba sobie wybrać naród. Inaczej — impas, próżne gadanie, przytupywanie, przesiadanie ze stołka na stołek. Dziejów nie można wziąć na kawały interpretacyjne.

Przemówienie p. generała Rydza Śmigłego, na którą inicjatorzy się powołują, ogłoszone było publicznie nietylko dla kółka sanatorów; wszyscy je mamy prawo interpretować. Myśl przewodnia tego przemówienia—hasło obrony narodowej, przypadła do serca c a ł e m u ogółowi polskiemu. Ta idea nie potrzebuje pośrednictwa; ono może tylko narazić na szwank jej realizację.

Tutaj wyładowanie uczuć patrjotycznych musi być bezpośrednie, niehamowane brakiem zaufania.

ZYGMUNT WASILEWSKI

ODŻYDZANIE POLSKI

„CZY CHŁOPOM wolno zajmować się handlem i rzemiosłem?" Taki tytuł dał swojej korespondencji z Radomia, zamieszczonej na czele nr. 158 „Il. Kurjera Codziennego" utalentowany publicysta p. Tadeusz Opioła. Opowiada on na podstawie bezpośredniej obserwacji bardzo ciekawe fakty z życia wsi dzisiejszej. Jesteśmy świadkami doniosłego procesu polszczenia miast przez dopływ ludu ze wsi. Przytyk jest symboliczny.

„Byłoby nieludzkiem"—pisze p. Opioła—„dziwić się tej rozpaczy żydów wobec skutków bojkotu. Ma ona głębokie uzasadnienie w tych przeobrażeniach, które zaszły w bliższej i dalszej okolicy Przytyka. Dość powiedzieć, że w ciągu dwuch pierwszych miesięcy b. r. w zachodniej części powiatu radomskiego powstało około 160 placówek handlu chłopskiego, a w tem 50 w samym Przytyku, które wykupiły świadectwa przemysłowe, przyczem charakterystycznym jest fakt, że pewien przedsiębiorca ludowy z Białobrzegów wykupił z początkiem stycznia b. r. dla założonego przez siebie skupu produktów rolnych świadectwo przemysłowe 4-ej kategorji, przewidując obrót do 20,000 zł. rocznie, lecz już po kilku tygodnich, bez żadnego ze strony urzędu skarbowego nacisku, dokupił świadectwo 3-ej kategorji, przewidziane dla obrotu do 100,000 zł. rocznie, a nadto dwie karty rejestrowe na składy zboża.

Byłoby jednak wielkim błędem sądzić, że bojkot i z nim związana akcja tworzenia placówek kupieckich przez przedsiębiorców z ludu wynika z nienawiści rasowej, jak to czasem słyszy się ze strony żydowskiej. Właściwa przyczyna tego zjawiska, które stało się żywiołowem w tych stronach, jest natury gospodarczej.

Chłop, któremu coraz bardziej ziemia kurczy się pod nogami i coraz mniejsze daje dochody, szuka w handlu i już częściowo znalazł nowe źródło utrzymania. Na tem tle dokonało się już w bliższym promieniu Przytyka wielkie przeobrażenie psychiczne, oparte na doświadczeniu, że handel dziś znacznie więcej jest intratny, niż praca na roli. Charakterystycznem zaś jest, że chłopski entuzjazm do handlu rozpętał się w tych stronach nie na podstawie spółdzielczej, lecz na prawach i upodobaniach indywidualnej przedsiębiorczości.

I oto na terenie powiatów radomskiego, opoczyńskiego, koneckiego, kozienickiego, iłżańskiego i opatowskiego w ciągu jednego roku powstało około 2,500 nowych placówek i ogniw chrześcijańskiego handlu ludowego. W cyfrze tej żadnej niema przesady j gdyby zechciało się rejestrować nieustabilizowane próby straganiarskie i domokrążcze, liczbę tę należałoby conajmniej podwoić.

Faktem jest, że na wymienionym terenie włościanie opanowali całkowicie handel spożywczy po wsiach. Również handel produktami rolnemi znalazł się w rękach chłopskich, a skutek jest ten, że prawie wszystkie młyny żydowskie stanęły, polskie zaś pracują bez wytchnienia.

Do niedawna mieli żydzi wyłączny monopol w handlu bydłem, lecz od roku handel ten w szybkiem tempie zagarnęli chłopi, znalazłszy zbyt w kilkunastu nowych jatkach, które powstały pod firmą chrześcijańską: 9 w Radomiu, 2 w Białobrzegach, 1 w Skaryszewie, 1 w Przytyku, 1 w Odrzywole, 2 w Jedlińsku, 1 w Zwoleniu, Skarżysku i t. d.

W okolicy Radomia dowiedziałem się, że trzech młodych włościan sprzedało swe działki sąsiadom i z kapitałem 2,000 zł. wzięli się do handlu bydłem—jeden z nich odłączył się niedawno od spółki, pracuje już na własną rękę i chwali się, że ostatnio w ciągu jednego tygodnia zarobił na czysto 300 zł., ubrał się z waszecia i jest bardzo zadowolony, że tak się mu szczęśliwie składa.

Do niedawna tylko żydzi dzierżawili piękne i liczne w okolicy sady, prowadząc handel owocami. Jeszcze w roku ubiegłym 70 proc. sadów pozostawało w ich arendzie, lecz obecnie już wszystkie sady zostały wydzierżawione przez przedsiębiorców-chłopów, którzy penetrując swój teren, wyłonili z siebie nadto nowy typ domokrążców.

Dziesiątki mężczyzn i kobiet, przedtem bezrobotnych, włóczą się od wsi do wsi, sprzedając drobną galanterję, głosząc hasła kupieckie i powiększając swe skromne narazie obroty. Także handel nabiałem, jajami i ogrodowizną znalazł się w rękach chłopów i nie brak niespotykanych dawniej handełesów-włościan, którzy po miasteczkach i wsiach skupują starzyznę, stare żelastwo, szkło i gałgany.

Cały ruch jest jeszcze *in statu nascendi*, ale już dziś ugruntowało się w terenie kilkanaście większych sklepów z galanterją i bławatem, kilka większych składów żelaza i kilkanaście składów z opałem. W Radomiu powstał pierwszy polski sklep z gotową odzieżą i jeden objazdowy stragan odzieżowy. Nowością również jest w Radomiu polski skład z drzewem i materjałami budowlanemi oraz sklep żelazny z okuciami budowlanemi i stolarskiemi, oraz z fornierami, a ponadto dwie fabryki cukierków.

Pracę pionierską wykonuje straganiarstwo i jest to pierwszy etap ludowej przedsiębiorczości kupieckiej, pierwsza próba porywów i doświadczeń kupieckich—bez większego kapitału obrotowego. W takim np. Przytyku w jarmarczne poniedziałki handel poza sklepami był reprezentowany przez 50 żydowskich straganów. W międzyczasie powstało w Przytyku 40 straganów chrześcijańskich, żydowskich zaś tylko 10 ostało się w tej konkurencyjnej rozgrywce. A trzeba pamiętać, ze stragan jest przedsiębiorstwem ruchomem i rozpiętość jego obrotów należy mierzyć w skali całej okolicy.

Nie jest to zatem poryw dorywczy, lecz na społecznem podłożu warunków materjalnych oparty ruch chłopski który rozszerza widnokrąg zarobków i przez handel realizuje problem, który upełnorolnieniem nie da się w całości rozwiązać. Motorem zaś tego ruchu jest żywiołowy entuzjazm i przeświadczenie, że handel może zaradzić bezrobociu na wsi skuteczniej niż praca na karłowatych gospodarstwach.

Równocześnie zaś z handlem chłopskim i pod jego skrzydłami rozwija się drobne rzemiosło polskie.

W samym powiecie radomskim znalazło dotąd pracę i zarobek 30 przedtem bezrobotnych kamaszników Polaków i setki szewców; wśród krawców Polaków niema już bezrobotnych, a odczuwa się nawet wielki brak czapników, kamaszników i krawców. Polskie zaś sklepy, które przedtem istniały po miasteczkach i wsiach, powiększyły w dwójnasób swoje obroty.

W tych warunkach trudno się dziwić, że ten ekonomiczny ruch ludowy budzi grozę i rozpacz wśród ludności żydowskiej i wytwarza wśród niej nastrój zdenerwowania, Gdyby to był odruch bez dalszych następstw gospodarczych. możnaby wytrzymać, niechby i terror sporadyczny. Przeciętny kupiec żydowski z małego miasteczka nie może jednak zrozumieć sensu tego ruchu. I trudno byłoby tłumaczyć to zjawisko, które nie zawsze da się ująć w dostępną dla konserwatyzmu żydowskiego formułę materjalną, zwłaszcza gdy na widownię wkracza czynnik entuzjazmu, który, w przeciwieństwie do fanatyzmu, jest twórczym motorem wszystkich ruchów ludowych.

Oto psychiczne tło procesu o zajścia w Przytyku, które były tylko mechanicznym splotem nieporozumień i przeciwieństw. Nie w tem rozgrywa się na sali sejmikowej społeczny sens procesu, czy i jak ten, który zabił Wieśniaka i czy ci, którzy w swojem przekonaniu pomścili jego śmierć, będą

ukarani, lecz w tem, czy chłop ma prawo widzieć w handlu poprawę swojej doli.

Społeczeństwo polskie oczekuje, że na brzegu tego łożyska stanie z decyzji sądu Rzeczypospolitej orjentacyjna tablica".

Nie każdemu pokoleniu zdarza się być świadkiem zjawiska społecznego podobnej doniosłości w sensie twórczym. Od czasu inicjatywy w tym kierunku, danej w Warszawie w r. 1912, przerwanej w realizacji wskutek wojny, życie samo pod naciskiem konieczności wszczyna proces, w czem niemałą rolę odgrywa przykład Wielkopolski i Pomorza, gdzie miasta są już polskie.

Po przeczytaniu powyższej relacji niech odpowiedzą sfery za rozwój Polski odpowiedzialne, czy istotnie ten ruch społeczny wsi polskiej jest tak zbrodniczy, jak to one—za inspiracją żydów—usiłowały dotąd przedstawiać. Niech odpowiedzą ci, którzy rzucili jednocześnie jako hasło przewodnie: „Frontem do wsi", którzy dobro „szarego człowieka" na wsi ogłosili za główny postulat pracy dla potęgi państwa.

Ruch narodowy, tak ofiarnie prowadzony, nie dla swoich kierowników szuka „posad", on stwarza — placówki dla ludu. Ale nie względy humanitarne wobec tych jednostek są tu decydujące; sprawa ma na celu uzdrowienie organizmu Polski przez spolszczenie miast — ognisk kultury i gospodarstwa.

Czas po męsku, patrjotycznie spojrzeć prawdzie w oczy i zrozumieć dziejący się dramat.

NAUKA i LITERATURA

„STUDIA PHILOSOPHICA"

Z INICJATYWY Polskiego Towarzystwe Filozoficznego we Lwowie ukazał się tom I nowego polskiego czasopisma filozoficznego *„Studia Philosophica"* [1]), redagowanego przez profesorów: K. Ajdukiewicza, R. Ingardena i K. Twardowskiego. Celem tego wydawnictwa jest informowanie zagranicy o polskiej myśli filozoficznej, dlatego będą się w niem ukazywać jedynie prace Polaków i obywateli polskich, pisane w językach kongresów naukowych.

Na wydany tom pierwszy, wyglądający bardzo okazale i odbity na dobrym papierze, złożyło się 6 studjów i francuskie streszczenia prac filozoficznych, wydanych po polsku od r. 1932. Umieszczone studja noszą poważny, naukowy charakter, przeznaczone są dla fachowców-filozofów i naogół stoją na wysokim poziomie naukowym. Złożyły się na nie rozprawy K. Ajdukiewicza z zakresu semantyki systemów dedukcyjnych, R. Ingardena z zakresu fenomenologji, T. Kotarbińskiego o metodologji, F. Bacona, H. Mehlberga o teorji przyczynowej czasu, przekład pracy A. Tarskiego, wydanej po polsku p. t. „Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych", Z. Zawirskiego studjum o stosunku logik wielowartościowych do rachunku prawdopodobieństwa.

Prace te dobrze informują zagranicę o stanie współczesnej filozofji w Polsce, aczkolwiek dobrane są dość jednostronnie. Nie znajdujemy wśród nich, poza pracą T. Kotarbińskiego, rozpraw z zakresu historji filozofji, ani też etycznych lub estetycznych.

Myśl założenia takiego czasopisma należy powitać z największą radością. Polska filozofja jest prawie nieznana w innych krajach, a jedną z głównych przyczyn są trudności językowe. Liczni polscy uczeni umieszczali swe prace po czasopismach zagranicznych, gdzie one bądź ginęły w natłoku innych, bądź też zaliczano ich autorów do innych narodowości.

Obecnie dzięki możności skupienia ich na łamach jednego wydawnictwa, wyraźnie podkreślającego swój charakter polski, te niebezpieczeństwa odpadają. Nasuwają się atoli inne refleksje. Nasza rodzima produkcja filozoficzna i wogóle naukowa jest względnie bardzo uboga. Publikowanie prac przez polskich uczonych w językach kongresów naukowych, co ostatnio we wszystkich dyscyplinach naukowych przybiera b. szerokie rozmiary, sprawia, że Polacy muszą studjować nawet prace polskich uczonych w językach obcych. Rzecz taka w jakichś szerszych rozmiarach jest nie do pomyślenia u Niemców, Francuzów czy też Anglików. Zaradzić temu koniecznie potrzeba, bo inaczej nigdy nie rozwiniemy swej literatury naukowej, swego języka naukowego, a mowa polska nie zajmie należnego jej miejsca. Jedynem wyjściem rozsądnem z tej sytuacji, gdy nie można wymagać od cudzoziemców znajomości języka polskiego, a od naszych uczonych aby zrezygnowali z informowania zagranicy o swych wynikach, jest publikowanie jednoczesne celniejszych prac po polsku i w języku obcym z wyraźnem podkreśleniem, iż jest to przekład z wydawnictwa polskiego. Rzecz oczywista, że przy teraźniejszych ciężkich warunkach wydawniczych jest to sprawa trudna do przeprowadzenia. Wydaje się jednak jedynie możliwą w tych okolicznościach. Dlatego należy ją propagować.

LAMBDA

[1]) *„Studia Philosophica", commentarii Societatis Philosophicae Polonorum, Curantibus* K. Ajdukiewicz, R. Ingarden, K. Twardowski. *Volumen I. Leopoli*, 1935. *Prostat Leopoli in libraria* „Książka" (A. Mazzucato), ul. Czarnieckiego 12. Stron VIII + 500. Cena 30 zł.

RUCH WYDAWNICZY

W tych dniach, nakładem firmy wydawniczej Prabucki i Płocha, ukazała się książka Adolfa Nowaczyńskiego p. t. „Moja przejażdżka po Palestynie." O tej najnowszej pracy świetnego pisarza zamieścimy wkrótce obszerniejsze sprawozdanie.

*

Ferdynand Antoni Ossendowski. „Mocni ludzie". Powieść. Warszawa, 1836. Książnica-Atlas.

Powieść Ossendowskiego na tle dalekich, egzotycznych ziem Azji i Afryki są pełnemi świeżości i ruchu kartami wielkiej księgi przyrody. Akcja, przesycona nastrojem awanturniczych zdarzeń jest niejako pretekstem dla wypowiedzenia się szerokim tchem mórz, jezior, rzek, pustyni, puszcz i tajg bezbrzeżnych. Czar przestrzeni przenosi wyobraźnię czytelnika w atmosferę tych krain. Typy myśliwych i żeglarzów, obyczaje dzikich plemion, swoistą ich moralność, krajobrazy o dramatycznem pięknie, znać, że odtwarza rozmiłowany w tajemnicach przyrody podróżnik, badacz i poeta. Bezpośredniość wrażeń i suggestja prawdy artystycznej porywają uwagę i wiążą z losami bohaterów opowiadania, ich uczuć ludzkich, każdemu zrozumiałych. Stąd wszechświatowa popularność książek Ossendowskiego, tłumaczonych na wszystkie europejskie języki i szereg narzeczy.

Szlachetnem znamieniem jego utworów jest ich przynależność narodowa. Obszary Rosji azjatyckiej były przez dziesiątki lat więzieniem i grobem polskich bojowników o wolność.

W powieści „Mocni ludzie" ukazuje autor odrębności rasowe między Polakami, Rosjanami a osobnikami różnych szczepów, zamieszkujących Syberję. Młody Polak, skazany za udział w powstaniu 1831 roku na wygnanie, wnosi wraz ze swą żoną w tę ziemię lodów i ciemności światło kultury i ideału, w myśl wiekowej, cywilizacyjnej tradycji narodu, a powieść o tem jest jedną z najciekawszych powieści Ossendowskiego. (A. W.)

MUZYKA

FILHARMONJA ZAMKNĘŁA SWÓJ SEZON KONCERTOWY. Zamknięcie go wbrew zwyczajowi, który ostatni wieczór kazał poświęcić muzyce polskiej, Haendlem, miało swój wyraz. Przypominało, jak mało czasu poświęcono naszej twórczości. Mój Boże, gdyby to Szymanowski miał chociaż odrobinę tego szczęścia co Ryszard Strauss... Gdyby!

Strauss był faworyzowany wyraźnie. Czyżby instytucja Filharmonji uległa suggestji słów pewnych krytyków stołecznych, którym wyraźne kalectwo w odczuwaniu nowej muzyki pozwala już jednak na pogodzenie się z autorem „Śmierci i Wyzwolenia"? Już! Imponujace — nieprawda? Woleliby zapewne wprawdzie Mahlera, ale...

Ostatnie miesiące oddane były Beethovenowi. I dobrze, ubiegłe bowiem lata skąpy nawiązywały między nim a nami, t.j. słuchającą Warszawą kontakt. Trzeba przyznać, że od czuwało się jednak spory wysiłek ze strony kierownictwa, dbałość o poziom, dobór sił koncertujących. Uskarżać się zbytnio nie możemy. Weźmy jeszcze pod uwagę niezwykle ciężkie warunki, w jakich naczelna nasza instytucja muzyczna musiała pracować. Przypomina się tu natrętnie sprawa zerwania umowy z „Polskiem Radjem". Umowę zerwać można, ale jak wygląda urządzanie radjowych koncertów symfonicznych właśnie w piątki? Żadnej interwencji, żadnego kategorycznego sprzeciwu. Pamięć przywodzi złośliwie czasy sprzed kilkunastu lat, kiedy to szereg ludzi, mających obecnie w dziedzinie sztuki nieledwie moc dyktatorską, planował ambitne reformy, stawiał zarzuty, zapowiadał... Dzisiaj tych znanych miłośników muzyki, mecenasów uhonorowanych na żadnym koncercie ani poświeć. Niema ich. Nie istnieją. Plany poszły w kąt. Posiadają wartość archiwalną.

Sezon operowy skończył się już dawno. Nawet termin można ściśle określić. Z chwilą objęcia dyrekcji przez p. Korolewicz-Waydową. Minęły dwa lata pełne kompromitacyj. Dzisiaj p. Korolewicz-Waydowa cichaczem prześlizgnęła się z gmachu teatru Wielkiego do lokalu Wielkiej Rewji gdzie prowadzi operetkę. „Na pierwszy ogień idzie melodyjna Gejsza"... Ludzie polecą. Melodyjna operetka... Polecą napewno. Dwa lata próby dały duże doświadczenie. Sprawa opery w tym stanie rzeczy przedstawia się nad wyraz poważnie. I w dalszym ciągu kompromitująco. Postaramy się ją szerzej omówić.

Konserwatorjum nie odbiegało od utartego szablonu lat ubiegłych. Ostatnio koncertował Kranc. „Prostu z Mostu" pisało o *recital*'u tym następująco:

> „Pamiętamy Kranca jeszcze jako ucznia konserwatorjum, popularnego i lubianego i dobrze się zapowiadającego. To też powrót jego po dłuższym pobycie w Paryżu wzbudził wielkie zainteresowanie i przyczynił się do frekwencji jakiej nie miał nawet Rubinstein."

Nie trudno wyczuć, mimo wszystko, lekkiego zdziwienia na widok frekwencji, jakiej nie miał nawet Rubinstein. Jest sposób wytłumaczenia jej sobie. Sprawa jest bardziej jasna. Daleko więcej od sympatji wpływa tu umiejętna propaganda, „...jakiej nie miał nawet Rubinstein." Tak. Drobny, ale charakterystyczny szczegół.

Nakoniec parę słów ciepłych pod adresem instytucyj, będących ośrodkiem prawdziwej kultury muzycznej. Myślę tu o Stowarzyszeniu Miłośników Dawnej Muzyki i o Towarzystwie Muzyki Współczesnej. Doniedawna Stowarzyszenie Miłośników Dawnej Muzyki, z konieczności dyktowanej nakazem wewnętrznym, poświęcało od czasu do czasu jedną ze swych audycyj muzyce współczesnej. Nie mogła przecież znajdować się gdzieś poza nawiasem naszego życia. Koniecznością jednak stało się utworzenie instytucji, któraby się zajęła kultywowaniem twórczości dnia dzisiejszego. W grę tu wchodziła poprostu trosta o naszą twórczość muzyczną, o nasze młode talenty, które nie mogły być dłużej narażone na brak wszelkich możliwości wykonywania swojego dorobku. Niejednokrotnie zwracałem uwagę na inauguracyjną przemowę prof. Drzewieckiego, który miała jakby ton usprawiedliwiający... W taką to atmosferę wkraczała placówka najpotrzebniejsza z potrzebnych. Dzisiaj spełnia swoje zadanie bez obawy ataków uczonego nieraz nawet kołtuństwa. I zdobywa życie.

Trudno jest w drobnym szkicu zsumować, bez obawy słusznego zarzutu t. zw. „przebiegania po łepkach", dorobku i spraw ubiegłego sezonu. Miał on parę wielce dodatnich momentów i pozycyj. Zaliczyć do nich trzeba decyzję o zmianie z kwartalnika na dwumiesięcznik „Muzyki Polskiej." Niejednokrotnie podkreślaliśmy wagę powstania tego pisma. I nadal wszystkim je polecamy.

W. NARUSZ

FILM

APOLLO: „Kto ostatni całuje", film austrjacki.

Błyskawiczne tempo, sporo scenek szczerze zabawnych, a wymownych plastycznie — oto zalety tej filmowej komedji, miejscami zbaczającej na tory farsy. Może nie jest to rzecz tak dobrze skomponowana, jak kilka najlepszych utworów tego typu (przy końcu zbyt wiele ciągłych zderzeń dwu panów), ale te niedostatki zrównoważone są inną zaletą: zupełnym brakiem ckliwego sentymentalizmu. A właśnie słodkawa gliceryna jest nazbyt częstą omastą wielu komedyj wiedeńskich, co niejednego, do zręcznie pozatem zmajstrowanych sztuczek, zniechęca.

Głównym jednak powodem, dla którego piszę o tym filmie, jest pomysł pewnej, świetnie pod względem filmowym, pomyślanej roli. Rola ta stanowi oś akcji, a jej wykonawca, zresztą b. dyskretny aktorsko, staje się mimowolnym motorem całej intrygi. Gdy wokół niego dzieją się niesłychane intrygi, on jeden pozostaje spokojny, bal nawet flegmatyczny i nieco roztargniony. Prawie nic nie mówi, nie używa niemal mimiki, a jest naprawdę zabawny, już np. w znakomitej filmowo scenie początkowej: gdy wlazł do cudzego mieszkania, gdy udaje, że słuchag rającej i śpiewającej panienki, myśląc tylko o tem, jakby się wydostać z opresji. Pod koniec ta rola trochę banalnieje i zatraca swój czysty i wymowny filmowy rysunek, ale w najlepszych swych epizodach może być słusznie uważana za nad wyraz szczęśliwy pomysł, prawdziwym językiem filmowym wyrażony.

KANDYD

OD WYDAWNICTWA

Przyjaciołom „MYŚLI NARODOWEJ", którzy zgóry opłacili pierwsze półrocze lub cały rok 1936, oraz tym, którzy ponadto osobnemi wpłatami zasilili nasz FUNDUSZ PRASOWY, składamy serdeczne podziękowanie. Jednocześnie upraszamy wszystkich czytelników pisma o wczesne odnowienie przedpłaty za kw. III, który nadchodzi, i za drugie półrocze.

Wobec wyniszczenia ekonomicznego sfer oświeconych obozu narodowego i bojkotu wydawnictw narodowych polska prasa ideowa musi odwoływać się do społeczeństwa o zasilenie funduszu wydawniczego. Pamiętać należy o tem, że prasa sanacyjna i filosemicka (liberalna, socjalistyczna i bolszewicka) ma oparcie w potężnych subsydjach.

Przesyłki pieniężne dla „Myśli Narodowej" należy wysyłać na jej konto w P. K. O. nr. 3.105.

POKŁOSIE

ARYTMETYKA POLITYCZNA

Wybory do francnskiej Izby deputowanych i ich rezultat, wyrażający się narazie w rządzie socjalistyczno-radykalnym z Leonem Blumem na czele wywołał u nas przykre uczucie zawodu i zaniepokojenia. Spodziewaliśmy się, że położenie zewnętrzne, pełne niepewności i gróźb, skłoni jednak wyborców francuskich do wydelegowania innego niż dotychczas przedstawicielstwa, o wyraźniejszej narodowej fizjognomji. A tu tymczasem weszła do Izby falanga komunistów i na czele rządu, sto pierwszego z rzędu gabinetu trzeciej republiki stanął socjalista, żyd, pochodzący jak wieść niesie z rodziny, naturalizowanej we Francji dopiero w poprzedniem pokoleniu.

Powiadają, że parlament nie reprezentuje prawdziwej Francji. Ch. Maurras ukuł i spopularyzował przeciwstawienie kraju rzeczywistego i kraju oficjalnego, *pays réel* i *pays officiel*, a ostatnio ukazała się książka innego polityka francuskiego, który był jedenaście razy ministrem i trzy razy szefem rządu, p. A. Tardieu, bliskiego współpracownika Clemenceau przy układaniu traktatu wersalskiego, która obszernie omawia tę sprawę niezgodności między krajem, a jego urzędowem i uprawnionem przedstawicielstwem. Z książki tej zaczerpniemy nieco danych, ilistrujących i wyjaśniających to zjawisko.

We Francji obowiązuje jak wiadomo powszechne prawo głosowania, ale mają je tylko mężczyźni. Jeżeli odliczyć kobiety, ludność nieletnią, żołnierzy w czynnej służbie i osoby pozbawione tego prawa z wyroku sądowego, to okaże się, że głosować może tylko 28% ludności, czyli około 11 miljonów na 40 miljonów. Ale oczywiście nigdy wszyscy nie głosują, gdyż przymusu prawnego niema, a obywatele okazują naogół dość znaczną obojętność i opieszałość w wykonywaniu tego prawa i obowiązku. Z cyfr, przytoczonym przez p. Tardieu wynika, że liczba nie głosujących dochodziła za trzeciej republiki do 31%, a ciekawe jest, że np. w pierwszych wyborach po wojnie, kiedy, zdawałoby się, zainteresowanie sprawami ogólnemi powinno być szczególnie żywe, nie stawiło się do urn aż 29% uprawnionych. Ta obojętność nie jest jednak znakiem naszych czasów, dawniej była jeszcze większa: w 1849 r., zaraz po nadaniu ludności prawa powszechnego głosowania, nie skorzystało zeń aż 40% uprawnionych, a co jeszcze ciekawsze, to że nawet podczas wielkiej rewolucji, a więc w miodowym miesiącu upajania się swobodami, liczba abstynentów była jeszcze większa. Tak więc w r. 1790 w rozmaitych okręgach prowincjonalnych stwierdzono taki stosunek głosujących: w Besançon na 3200 głosuje 1060, w Chartres na 2300 głosuje 1447, w następnym roku w stolicy głosuje tylko 7200 na 81200 uprawnionych, a w Troyes 500 na 7000: Liczby te mówią wiele i można je przytaczać na dowód tezy, że rewolucja w takiej formie i zakresie dokonywała się wbrew woli ludności, tylko że niebezpiecznie było tę wolę ujawniać.

Wyboru dokonywa oczywiście większość, a nie wszyscy, tak że ostatecznie parlament jest faktycznie wybrany przez połowę głosujących t. zn. przez niecałe 10% narodu, jeżeli się odliczy nieuprawnionych i nie głosujących.

Ale jak głosują ci obywatele, którzy stawiają się do urn? Czy z całą świadomością i zrozumieniem rzeczy? Otóż p. Tardieu utrzymuje, że bynajmniej tak nie jest, że wyborcy stanowią stado, dość posłusznie idące za wskazówkami menerów rozmaitych stronnictw i komitetów. Tak było od początku. Jak w każdem stowarzyszeniu grupa członków ruchliwych i pilnie uczęszczających na zebrania zawsze rządzi i trzyma prym, tak i nad masami wyborców panują mniejszości zorganizowane i wiedzące czego chcą. Badania nad historją wielkiej rewolucji wykazują, że już wówczas, od samego początku „głos ludu" był starannie opracowywany przez komitety centralne, do tego stopnia że egzemplarze rezolucyj, uchwalanych „spontanicznie" w odległych od siebie prowincjach, są nietylko identyczne, ale wykazują te same błędy w przepisywaniu. Tem robieniem opinji zajmowała się wówczas organizacja Jakobinów, mająca 3000 filij w kraju i loże masońskie w liczbie 1400.

Dziś działają rozmaite organizacje, a wśród nich na naczelnem miejscu ta sama masonerja, zaś sztukę wysuwania naprzód nic nie znaczących pozorów i ukrywania za niemi prawdziwej i realnej władzy nazywała dawniejsza masonerja i nazywa dalej dzisiejsza „sztuką królewską" — pisze p. Tardieu. W trakcie rozmaitych ankiet w sprawie skandalu Stawiskiego wykryto, że wysoki dygnitarz masoński, minister Chautemps ma w lożach tytuł „księcia królewskiej tajemnicy"...

Maszyna wyborcza, menerzy miejscowi decydują o wynikach wyborów. A te instancje działają oczywiście według rozkazów ludzi zza kulis. I tu oprócz tajnych związków występuje inny jeszcze czynnik, bardzo potężny, pieniądz. Pieniądz ludzi bogatych. Więc oni subwencjonują socjalistów? A tak, i traktują to według wyrażenia G. Sorela, jako płacenie premji ubezpieczeniowej w nadziei, że pupile oszczędzą przynajmniej ich osobiste interesy, a „po nas niech tam będzie i potop..." Często działa i szantaż, np. pierwszymi większymi ofiarodawcami kapitałów na *„L'Humanité"* i blumowski *„Le Populaire"* był bank Bernard Lazar i Stowarzyszenie agentów giełdowych, ale znane są odezwania się wielkich przemysłowców, nastraszonych tendencjami „uspołecznienia" ich gałęzi produkcji, że „odtąd moje środki są do dyzpozycji tych który mnie atakują"... W r. 1932 wielki przemysł finansował wybory lewicy wzamian za obietnicę nieforsowania monopoli, czego też dotrzymano.

Historycy twierdzą, że wielką rewolucję robiło w Paryżu 6000 ludzi, przeważnie mających kryminalną przeszłość. Dziś kto ma „kadry", czyli maszynę wyborczą i zapewni sobie temi lub innemi sposobami środki pieniężne może wybrać parlament jaki chce. W ten sposób dokonywano przewrotów, mimo że, jak dowodzą dokumenty, Francja nie była antymonarchiczna w 1789, a potem „nie była rojalistyczna w r. 1814, ani orlańska w 1830, ani demokratyczna w 1848, ani bonapartystyczna w 1851, ani też repubikańska w 1870"— mówi nasz autor.

Książka p. Tardieu, który poznał ustrój Francji (*„Le souverain captif"*) i jego funkcjonowanie bardzo dokładnie, jest bardzo wymownem oskarżeniem całego systemu rządów demokratycznych. Autor zapowiada dalsze publikacje, może więc dowiemy się, w jaki jego zdaniem sposób możnaby osiągnąć dojście do głosu tego *„pays réel"*, o którego zasadniczem zdrowiu przekonała świat chociażby wielka wojna.

ARGUS

NA MARGINESIE

Niezręczna sytuacja.

Wesołe towarzystwo rządzi się przy biesiadnym stole, jak we własnym domu:

— Panowie, tu miejsce tylko dla naszych przyjaciół! Kto nam brat-łata, niech pije i popuszcza pasa. A kto nie wypije, tego we dwa kije...

A gospodarz, który za to wszystko płaci, niedopuszczony do stołu, nawet nie ma czasu przysłuchiwać się pijatyce, bo musi pracować, aby podołać wystawności domu i z głodu nie zginąć.

*

— Skarżą się w Polsce na złe drogi, a ja miałbym sposób...

— No?

— Zaprosiłbym do Polski Negusa...

— No?

— Przyszliby za nim Włosi i porobiliby drogi.

*

— Pan dobrodziej ma swój interes w Bezarabji?

— Nie, na Nalewkach.

— Ja też o Nalewkach mówię, bo tam wcale niema Arabów.

— Wypraszam sobie podobne Przytyki.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.